W NUMERZE: Nauczycielka z Prostek • O trawnickiej kulturze • U Szymanowskiego • Nad Broniewskim • List o poezji • Piewca nuty człowieczej • Życie dostarcza materiału • Profile • Składanka teatralna • I in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

LUBLIN

15.III.1962

Nr 5 (243)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

Od Domu Technika do FSC

JERZY DOSTATNI

TAK się złożyło, że zarówno osobiste zamiłowania, jak i dziennikarskie obowiązki, pozwoliły mi w ostatnich tygodniach na bliższe kontakty z dwoma, bardzo różnymi i na przeciwnych krańcach miasta położonymi, środowiskami: Domem Technika i klubem przy Fabryce Samochodów Ciężarowych. Niby dwie różne rzeczy, a przecież i w jednym, i w drugim wypadku siłą napędową jest — a przynajmniej być powinna — inteligencja techniczna. Ale jest i bardzo zasadnicza różnica: Dom Technika przez członków towarzystw technicznych, które tam znalazły swoje pomieszczenie, obejmuje teren całego województwa. Natomiast klub FSC jest ściśle związany z samą fabryką i jej najbliższym otoczeniem, wszystkiego chyba ze 200 hektarów.

Dom Technika został oddany do użytku zaledwie przed kilku miesiącami i trudno oczywiście żądać, aby w tym czasie zdołał skrystalizować swoją działalność, wnieść jakiś większy wkład w życie kulturalne czy oświatowe miasta. Jeżeli chodzi o działalność czysto zawodową, to rezydujące tam stowarzyszenia techniczne wykazują na ogół dość dużą aktywność. Wydaje się, że główną rolę odgrywają kursy techniczne, egzaminy, konsultacje — a więc to, co nazywamy podnoszeniem kwalifikacji zawodowych. Jeżeli chodzi o działalność, którą można by nazwać zewnętrzną, to palma pierwszeństwa należy się chyba Stowarzyszeniu Architektów za zorganizowanie kilku popularyzatorskich prelekcji. Niestety, zarówno one, jak i kilka innych imprez, nie ściągnęły jeszcze zbyt dużej liczby słuchaczy. Chyba nie tylko dlatego, że mocno jeszcze kuleje propaganda tych imprez, że piękny gmach przy ul. Grottgera jeszcze „nie przyjął się".

Osobiście bardzo byłem zaskoczony tym, że na bardzo interesującą tematycznie i z wielką swadą wygłoszoną prelekcję mgr inż. R. Dylewskiego o rozwoju urbanistycznym Lublina przybyło tylu pracowników budownictwa — a więc tych, którzy ten plan mają realizować — że licząc ich stwierdziłem poważny nadmiar palców u jednej ręki. A przecież kilkaset metrów dalej znajdują się biura największego w naszym województwie przedsiębiorstwa budowlanego, jak również i Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa, sprawującego nadzór nad naszym całym tzw. budownictwem centralnym. Poza tym w sąsiedztwie znajduje się zarówno samo Technikum Budowlane, jak i jego obszerny internat, ale na żadnym rękawie nie widziałem tarczy, a na żadnej twarzy wieku, który odpowiadałby tej szkole.

Przy tej okazji chyba warto zwrócić stowarzyszeniom technicznym uwagę na to, że w dotychczasowej działalności i w planach na najbliższą przyszłość jakoś zapomniały o młodzieży. To przecież przyszli użytkownicy tego Domu, przyszli technicy i inżynierowie, członkowie tych właśnie stowarzyszeń. Czyż Stowarzyszenie Inżynierów Mechaników nie powinno wciągnąć do Domu Technika uczniów Technikum Mechanicznego, Technikum Budowy Samochodów czy Technikum Chemiczno-Mechanicznego? A Stowarzyszenie Elekryków Polskich — młodzieży z Technikum Elektrycznego, a nawet Zasadniczej Szkoły Elektrycznej? Listę propozycji można by wydłużać. W sumie chodzi o to, aby stowarzyszenia techniczne dorosłych ściągnęły do Domu Technika młodzież uczącą się zawodów technicznych. Chyba zrozumiałe, że nie idzie o to, aby powtarzać sprawy szkolne, aby zajęcia prowadzić metodą belferską. Obok popularnej pogadanki i ciekawej wystawy powinien być czas na wesołą imprezę rozrywkową, obok filmu technicznego film przygodowy czy krajoznawczy, obok zgaduj-zgaduli jakiś konkurs techniczny itp.

I druga sprawa, może trudniejsza, ale równie ważna: uprzystępnienie domu mieszkańcom dzielnicy. Rozumiem, że nowe urządzenia i wyposażenie są szczególnie wrażliwe na wszelkie nieposzanowanie, że różne formy pracy zawodowej stowarzyszeń technicznych wymagają spokoju. Ale równocześnie trudno pogodzić się z tym, by duża i dobrze wyposażona sala widowiskowa była używana 2 czy 3 razy w miesiącu, by klub z doskonałą kawą świecił pustkami, by obszerne podziemia były nadal nie wykorzystywane. To nie dzielnica wyrosła wokół Domu Technika, ale on wszedł w sam jej środek, w środek dzielnicy, która w zasadniczych swoich elementach ukształtowała się tam już przed przeszło 20 laty, a dzięki osiedlom powojennym RDM i przy ul. Lipowej nabrała pełnej prężności. Dla tych tysięcy ludzi Dom, nawet najlepiej pracujący, nie powinien być intruzem, oddzielającym się drutami kolczastymi od sąsiadów. Nawet w tym wypadku, gdy wypadnie częściej niż przewidziano wymienić fotel czy chodnik. Trzeba, zapewne z niemałym trudem i wielu poświęceniami, aby Dom Technika możliwie najszybciej zaczął odgrywać właściwą rolę kulturalno-oświatową także wśród swoich najbliższych sąsiadów.

JAKŻE zupełnie inna problematyka zaskakuje nie tylko dziennikarza — w sercu i na pobrzeżach Fabryki Samochodów Ciężarowych. Proces kształtowania się tego środowiska był całkowicie inny. Kalinowszczyzna jeszcze w ubiegłym wieku powstała jako dzielnica czysto robotnicza. Wynikały z tego wszystkie konsekwencje społeczne, gospodarcze i kulturalne. To tutaj właśnie było najwięcej analfabetów i bezrobotnych, w tutejszych lepiankach rodziła się masowo gruźlica i krzywica. I nie trzeba się wstydzić otwartego stwierdzenia, że na marginesach takiego życia rodziło się przestępstwo, wykształcał się — dzięki przedwojennym właścicielom fabryk i ich protektorom — jedyny chyba w Lublinie ośrodek lumpenproletariatu.

Opracowanie tego zagadnienia to zadanie dla socjologów i historyków. Tu poprzestańmy tylko na stwierdzeniu faktów, które działy się na naszych oczach. Znikli prywatni właściciele, a wraz z nimi bezrobocie. Pojęcie lumpenproletariatu dla młodego pokolenia stało się jakby historyczną fikcją. Gruźlica i krzywica schowały się do najdalszych już zakamarków.

I oto przed 12 laty tuż za taką dzielnicą zaczęła powstawać wielka fabry-

(Dokończenie na str. 11)

GRUPY czy ŻYCIE pozagrupowe

Rozmowa przeprowadzona w Klubie „Zamek" z dwoma przedstawicielami „najmłodszego lubelskiego pokolenia literackiego" ma pretensję do dokumentu. Występują: Poeta, Prozaik, oraz M. D.

M. D. Ostatnio nakładem Wydawnictwa Lubelskiego został wydany tomik poetycki „Promu". Jak wiadomo grupa ta została założona przez młodych poetów naszego miasta. Jest to już czwarta czy piąta grupa literacka powstała w ostatnich latach. Jak dotąd „Klub literacki", „Rampa" i inne grupy po kilku miesiącach zaprzestawały działalności. Argument sceptyków, jakoby klimat Lublina nie służył grupom nie wydaje się przekonywający. Faktem jest, że grupy szybko rozpadają się.

POETA: Nie zawsze i niekoniecznie. Weźmy pod uwagę właśnie grupę poetycką „Prom", do której należę. Myślę, że ta grupa ostała się próbie czasu, istnieje już trzy lata, w tej chwili wydała tomik poetycki i nie zanosi się na to, żeby rozpadła się. I to jest chyba najważniejsze. Tym bardziej, że w tej chwili ma zapewnione elementarne podstawy materialne. Występuje oficjalnie pod egidą Rady Uczelnianej ZSP.

PROZAIK: Moim zdaniem, obecne grupy, to raczej rzecz chybiona. Grupa to nie znaczy tylko „literatura", to nie

(Dokończenie na str. 8)

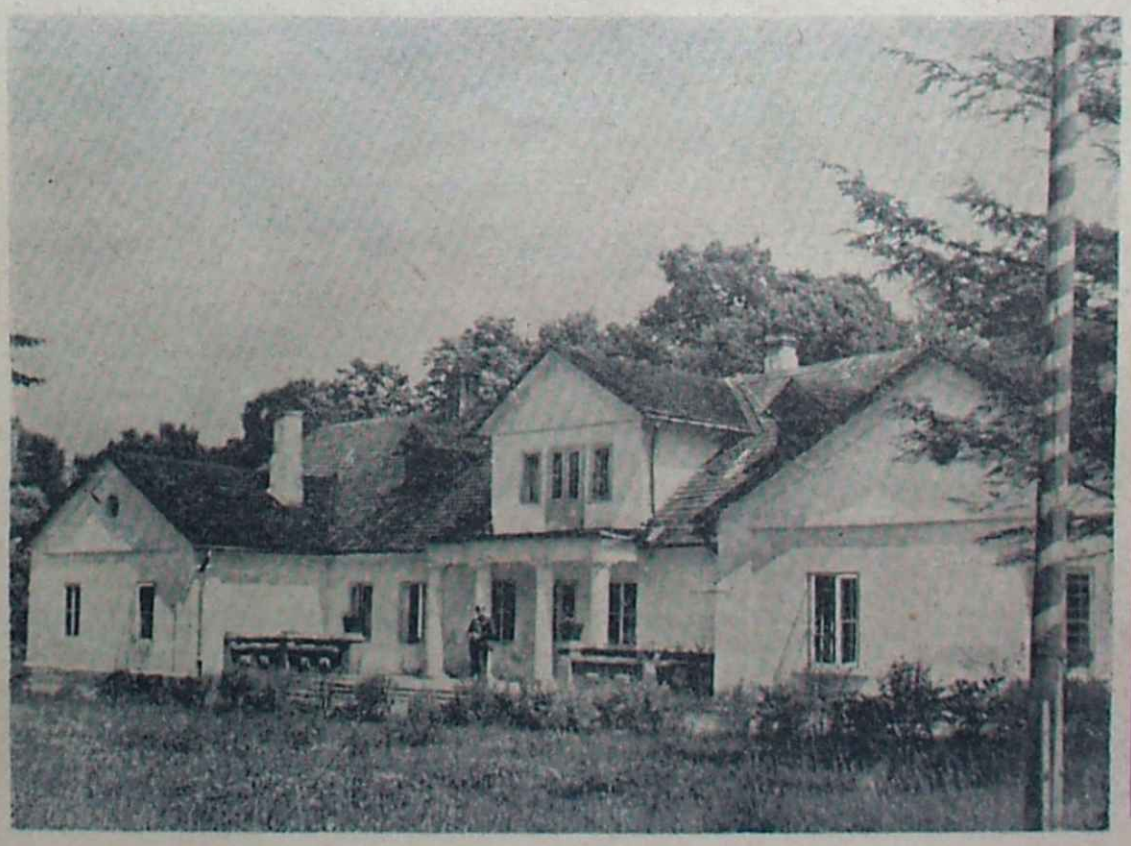

„DWOREK PANA-REYOWY" W NAGŁOWICACH KOŁO JĘDRZEJOWA — WOJ. KIELECKIE

Foto J. Jedliński

NAUCZYCIELKA Z PROSTEK

HANNA MUSZYŃSKA HOFFMANOWA

RÓŻNE bywają „opętania" rodzaju ludzkiego, że nie sposób ich nawet wszystkich wymienić. Zgubne i całkiem przyjemne. Ale panią Adolfiną z Prostek włada chyba to najszlachetniejsze — wyrażające się w umiłowaniu polskości ziemi mazurskiej. Ba, śmiało rzec można, że ta właśnie nauczycielka z niewielkiej osady województwa białostockiego posiada jakąś tajemno-magiczną wprost umiejętność wyłuskiwania z naszej przeszłości pamiątek i wszczepiania przywiązania doń w sercach ludzkich.

O Prostkach — ongiś granicznej miejscowości między Koroną a Prusami Książęcymi — wie każdy czytelnik sienkiewiczowskiej „Trylogii". Jednak dzięki pani Adolfinie młodzi i starzy nabrali do swej osady jakiegoś specyficznego rodzinno-intymnego uczucia. Tak — tak... Jeśli bohaterskie wyczyny pana Andrzeja Kmicica i małego rycerza Wołodyjowskiego, na równi ze szpetną zdradą księcia Bogusława Radziwiłła, są omawiane w białych domach prostkowskich z tą samą żarliwością jak ostatnie doniesienie z Algieru, kryje się w tym zasługa bez wątpienia pani Adolfiny. Nie ma w tym ani źdźbła przesady. Niżej podpisana sama przeżyła z powodu sienkiewiczowskiego bohatera i właśnie w Prostkach nie lada emocję. A jak to było opowiem.

Pamiętacie wspaniałe rumaki, na których w fordowskich „Krzyżakach" walczyli rycerze polscy i mnisi w w białych płaszczach? Pochodziły one z Państwowej Stadniny z Kobylina koło Prostek. Pani Adolfina wraz z wychowankami obejrzała film i poświęciła całą lekcję na dyskusję. Później młodzież wynosiła chyłkiem ze strychów i piwnic jakieś deski, druty i szmaty i godziny zajęć ręcznych poświęcała na tajemnicze lepienie, klepanie i wycinanie. A jeszcze później główną ulicą Prostek przejechał na kobylińskich koniach oddział Tatarów z wodzem swym Kmicicem. Ludność osady wyległa co duch przed domy, dziewczęta strzelały oczyma do urodziwego junaka w hełmie, a jakaś kobiecina, entuzjastka widowiska historycznego na gwałt chciała ucałować rękę pani Adolfinie!

A oto przykład drugi zasług pani Adolfiny. Od czterech wieków (ściśle od 1545 r.) stoi na granicy dwóch osad Bogusz i Prostek obelisk-pomnik uświetniający niegdysiejsze spotkanie Zygmunta I Starego ze swym siostrzanem Albrechtem Pruskim Hohenzollernem. Obelisk jak obelisk — wie o nim co nieco poniektóry historyk i bardzo wiele młodzież prostkowska. O tych spotkaniach — najpierw starego monarchy, później młodego Zygmunta Augusta, z panem na Królewcu opowiadają ze swadą i zainteresowaniem w czasie teraźniejszym, jakby co najmniej referowali spotkanie Gomułki z Grotewohlem. Spytajcie takiego pętaka z trzeciej klasy — dlaczego lud mazurski zwykł nazywać Albrechta swoim księciem Wojciaszkiem — wyśpiewa wam gadkę jak z nut. Przed paru laty narzekano w Prostkach na młodzież pozaszkolną, która nudząc się porządnie rozrabiała. Miał się zająć nią ten i ów, ale w końcu zajęła się tą ich „trudnością" pani Adolfina. Słyszałam prostkowskie „harmonijki", to jest dziewczęta koncertujące na harmonijkach ustnych. Tylko zbiorowymi siłami zdołano mi wytłumaczyć, że właśnie one, te urocze, pełne wdzięku dziewczęta należały również do młodzieży, której zarzucano to i owo.

Rozmawiałam z jednym byłym wychowankiem pani Adolfiny. Pani Adolfina uczyła go przed trzydziestu pięciu laty. Była pełna energii i młodzieńczych pomysłów zupełnie jak teraz, kiedy ja miałam szczęście ją poznać. Były uczeń jest lekarzem, ale chętnie w wolnych chwilach pielęgnuje swe hobby — pietyzm do pamiątek naszej przeszłości, które kiedyś przed laty zaszczepiła w nim pani Adolfina. Mówił o niej z entuzjazmem — z wdzięcznością — żarliwością — tylko jakoś w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć jej nawiska. Zrobiło mi się przykro. Dlatego przypominam — młodzieńcza nauczycielka z czterdziestoletnim stażem, mieszkająca i pracująca w Prostkach, nazywa się Adolfina Rogowska.

„Może chcecie usłyszeć jeszcze jeden wiersz Jana Brzechwy?"

W SALI „od gimnastyki" zgromadziła się prawie cała szkoła. Najstarszych zepchnięto na sam koniec. Żeby lepiej widzieć, wspinali się na drabinki. Estradę zastępuje stary stół ping-pongowy.

Wół pomyślał: znakomicie,
Też rozpocznę takie życie,
Poszedł do dom i wesoło
Zaczął bzykać pod stodołą...

Dzieci wybuchają śmiechem. Już zdążyły zapomnieć, że są zmęczone po pięciu lekcjach i że w domu czeka obiad. Są teraz w Szczebrzeszynie, jest lato, upał, i taki ogromny łaciaty wół podszedł do trzcin, a tu mu chrząszcz hop z listka na nos! Chrząszcz, taki bliżej nieokreślony stwór, rozmawia z wołem, a oni podsłuchują. Albo oni sami są chrząszczami... albo wołami...

Aktor jest zmęczony. Na szczęście to jego ostatnie wyjście. Teraz jeszcze Tadeusz zagra wiązankę melodii lubelskich, Henryk zaśpiewa z dziećmi „Bardzo dobrą rzecz" i już koniec. Nie, nie zgodzi się na żadne bisy!

A tymczasem jeden z chłopców jest właśnie wołem. I strasznie przejęty koniecznie musi odpowiedzieć głośno chrząszczowi:

M-u-u-u-u.

Aktor nie przerywa. Zna dobrze reakcję dzieci. Kończy wiersz i kiedy ucichły brawa pyta: „A może chcecie usłyszeć jeszcze jeden wiersz Jana Brzechwy?". Nie może przecież zawieść swoich widzów.

*

Dzieci ze szkół województwa lubelskiego dobrze znają ekipę aktorów, która już od kilku lat przyjeżdża do nich z tak zwanymi „koncertami szkolnymi". W koncertach szkolnych występują przeważnie cztery osoby. Piosenkarka, dwóch recytatorów i akompaniator. Na program składają się recytacje utworów stanowiących lekturę szkolną. Są to przeważnie wiersze Mickiewicza i Słowackiego, proza Prusa i Konopnickiej. Dla dzieci młodszych, odpowiednio dobrane bajki i wiersze; wielką popularnością cieszy się Jan Brzechwa oraz bajka Oskara Wilde'a „O królewiczu i jaskółeczce". Podobają się zawsze wesołe perypetie „Wicusia Trzepałkiewicza", „Dziesięcioro Murzyniątek" i bajka o „Kózce kłamczuchu". Aktorzy to najczęściej: Andrzej Chmielarczyk, Henryk Gońda, Marian Drozdowski z Teatru im. Juliusza Osterwy, piosenkarki — Lucyna Sienkiewicz, Simona Włoch i Krystyna Bakierowska, akompaniator — Tadeusz Prochowski.

W czasie swojej wieloletniej działalności ekipa dała na terenie Lubelszczyzny setki koncertów, dotarła do najbardziej oddalonych od miasta szkół. Od wielu lat każdy przyjazd „wujków", bo tak nazywają dzieci członków ekipy, jest oczekiwany z niecierpliwością.

„Warto urządzać takie koncerty. W takiej miejscowości jak nasza dziecko rzadko styka się z tzw. „żywym słowem". Taki koncert daje dzieciom bardzo dużo. Właśnie teraz przerabiamy w V klasie nowelę Marii Konopnickiej „Nasza szkapa". Tę samą nowelę usłyszeliśmy w dzisiejszym koncercie. Dziecko łatwiej zapamięta utwór, kiedy po przeczytaniu usłyszy go recytowany przez aktora. Przyjeżdżajcie do nas jak najczęściej. Po każdym koncercie dzieci jeszcze przez kilka dni są pod jego wrażeniem".

A oto wypowiedź innej nauczycielki bezpośrednio po koncercie:

„Dzieci są bardzo zadowolone, my nauczyciele też. Kiedy przyjedziecie do nas znowu?"

*

Warunki, w jakich występują aktorzy, są często bardzo ciężkie. Czasem estradę zastępuje stół ping-pongowy, kiedy indziej szkoła jest tak mała, że z jednej klasy wynosi się ławki, wzmacniacz i głośnik instaluje na piecu, dzieci wypełniają całą wolną przestrzeń, stojąc ciasno obok siebie, a aktorzy recytują wiersze w drzwiach prowadzących do sieni. Są szkoły mające już nowoczesne sale gimnastyczne lub świetlice ze sceną wyposażoną w kulisy, kurtynę, a nawet reflektory, w jeszcze innych szkołach nauczyciele prowadzą dzieci parami do znajdującej się na drugim końcu wsi remizy strażackiej.

Ale niezależnie od miejsca i warunków, w jakich występują aktorzy, na pytanie: „Czy chcecie usłyszeć jeszcze jeden wiersz Jana Brzechwy? pada niezmiennie odpowiedź: — chcemy".

M. D.

SIEROCA DOLA TRAWNICKIEJ KULTURY

ALICJA DMOWSKA

TRAWNIKI ze swoją stacją kolejową (wyjątkowo nie oddaloną o iks kilometrów do wsi), z zakładem dziewiarskim, zlokalizowanym na terenie byłej cukrowni, i z murowanymi kamieniczkami — sprawiają w pierwszej chwili wrażenie miasteczka. Lutowe słońce nie zdołało rozpuścić skorupy lodu, który naturalną twardą nawierzchnią skuł grząskie, błotniste zazwyczaj drogi trawnickie. Czego dotychczas nie zdołali wykonać ludzie, poprawiła, przynajmniej na kilka miesięcy, natura.

Do pomieszczenia Prezydium GRN przechodzi się przez ponury i zimny lokal biblioteki gromadzkiej. Sekretarz PGRN, młoda kobieta, udziela mi informacji o działalności Komisji Kultury. „To komisja, która pracuje dobrze. W ubiegłym roku odbyła siedem posiedzeń, a w bieżącym dwa. Ponadto ma osiągnięcia..." Co miesiąc posiedzenie — to przeszło moje najśmielsze oczekiwania! Będę miała nareszcie okazję pokazać komisję z prawdziwego zdarzenia... A jeszcze osiągnięcia! Jakie? Pani Sekretarz nie orientuje się dokładnie, ale wie, że na pewno są. Ażeby bliżej zorientować się w tych osiągnięciach, poprosiłam o teczkę z dokumentami. Jest. Czyściutka, ze starannie wypisanymi na okładce nazwiskami członków Komisji. Wewnątrz znajduje się urzędowy regulamin działalności, pobieżnie i byle jak sporządzony protokólik z pierwszego posiedzenia oraz plan pracy na I kwartał ubiegłego roku. I nic więcej. „To teczka założona na rok bieżący..." — stwierdza z pewnym wahaniem pani Sekretarz. Lecz daty na dokumentach świadczą dowodnie, że chodzi o rok ubiegły. Konsternacja. Po dłuższej chwili, szybkie wyjaśnienie, że jest druga teczka, ale... referentka wyszła i biurko zamknęła na klucz. Klucza nie ma...

— Czy Gromadzka Rada Narodowa ma w funduszu gromadzkim jakąś pozycję przeznaczoną na oświatę i kulturę?

— Dziesięć tysięcy złotych na bieżący rok. Tak jak w ubiegłym roku.

— Na co zostały przeznaczone te pieniądze?

— W ubiegłym roku przekazaliśmy je na urządzenie nowo otwartej szkoły w Ewopolu. Jest to szkoła Tysiąclecia. W bieżącym... jeszcze nie wiemy... Może jakaś nasza instytucja zwróci się do nas, to przekażemy — odpowiada trochę zniecierpliwiona pani Sekretarz.

— Czy w ewopolskiej szkole jest świetlica? — pytam dalej niezrażona.

— Tak, ale nieczynna, bo nie ma w niej żadnych urządzeń...

— Gromada z pewnością ma własną świetlicę?

— Nie, nie ma. Zresztą nie jest nam potrzebna, bo zakład dziewiarski ma świetlicę zakładową.

— Z biblioteką i urządzeniami?

— Nie. Biblioteki tam nie ma. To właściwie sala, z której w razie potrzeby korzysta ludność, no i młodzież w ogóle...

— Jakie tam odbywają się zajęcia świetlicowe?

— Zebrania i zabawy.

— Czy dużo tu jest młodzieży?

— O, tak. Na terenie gromady mamy cztery koła organizacji młodzieżowych. Dwa koła ZMS i dwa koła ZMW. W ogóle jest w gromadzie około czterystu pięćdziesięciu młodych chłopców i dziewcząt. Mamy zamiar wybudować kiedyś stadion sportowy, bo istnieje u nas Ludowy Zespół Sportowy. Brak nam jednak placu pod tę budowę.

Oddając teczkę Komisji Kultury jeszcze raz spojrzałam na wykaz członków. Jest wśród nich nauczycielka miejscowej szkoły podstawowej Zofia Radomska.

Zofia Radomska chętnie zgadza się na rozmowę. Pytam na wstępie, co myśli o „lubartowskim eksperymencie" upowszechniania kultury przez tworzenie ośrodków przy szkołach. W odpowiedzi patrzy na mnie zza okularów pełnym troski spojrzeniem niebieskich oczu.

— Gdyby w naszym, lubelskim powiecie, wprowadzono taki eksperyment, na pewno rozwinęłoby się życie kulturalne. Wciągnęłoby się do pracy przynajmniej kilka osób. U nas, w Trawnikach, bardzo by się to przydało. W naszej szkole jest kilku nauczycieli, którzy potrafiliby poprowadzić taki ośrodek.

— Czy szkoła prowadzi obecnie działalność kulturalną w środowisku.

— Szkoła jako taka — nie. Jeśli ja pracuję na tym odcinku, wynika to z moich osobistych zainteresowań.

— Jak pani organizuje swoją działalność?

— Związałam się bardzo ściśle z Kołem Gospodyń Wiejskich, którego jestem przewodniczącą. Kobiety są bardzo dzielne i ofiarnie uczestniczą w każdej akcji. Ostatnio, na przykład, zorganizowałyśmy imprezę „Zgaduj — Zgadula". Dochody z naszych imprez przeznaczamy na zakup pralki dla koła. Prowadzimy także, poza różnymi kursami, akcję oświatową w formie odczytów. W lecie, widząc jak nasze kobiety uległy panice wojennej, stwierdziłam, jak bardzo mało orientują się w zagadnieniach polityczno-ekonomicznych kraju, postanowiłam więc wprowadzić do akcji oświatowej tematykę polityczną i ekonomiczną... Widzi pani, jeśli angażuję się w pracę społeczną, to całą sobą. Tylko trudno pracować w osamotnieniu. Gdyby na naszym terenie znalazły się osoby, które by ze mną współdziałały, gdyby choć jedna... można by wiele zrobić...

— Jest przecież pani członkiem Komisji Kultury.

— Tak, ale jak dotychczas, a to już blisko rok, dostałam na początku kadencji jedno zawiadomienie o posiedzeniu. I nie mogłam pójść, bo otrzymałam je w szkole na kwadrans przed rozpoczęciem konferencji nauczycielskiej. A potem zawiadomień nie otrzymywałam.

— A młodzież? Czy nie angażuje się w organizowanie życia kulturalnego gromady?

— Czasem urządza zabawy taneczne...

— Czy na terenie gromady znajduje się dużo młodzieży pozaszkolnej nie objętej wychowaniem?

— Niewiele, ale jest pewien procent. Młodzież ta nie bardzo wie, co robić z wolnym czasem. Jeżeliby powstał u nas jakiś ośrodek działalności kulturalno-oświatowej, jak na innych terenach, wiele by się zmieniło...

Dopiero później, gdy przed miejscową gospodą natknęłam się na młodzież, gdy z bliska obejrzałam Trawniki i rozmawiałam z kilku osobami, zrozumiałam przyczynę sierocej doli trawnickiej kultury.

Trawniki — to miejscowość administracyjnie wiejska, ale ambicjonalnie bardzo małomiasteczkowa. Właśnie te miejscowe ambicyjki uniemożliwiają prowadzenie jakiejkolwiek działalności oświatowo-kulturalnej przez osoby miejscowe.

— Co tam Radomska i jej rozróbki! — powiedział mi ktoś z mieszkańców Trawnik w rozmowie już w pociągu. — Każdy z nas mógłby tak samo, jak ona...

— To dlaczego Radomska w działalności społecznej jest osamotniona?

— Chce pracować, niech pracuje. To jej sprawa. Zresztą, mówiąc szczerze, wiele osób jej zazdrości, bo ona umie przeprowadzić to co chce. Tylko z kawiarnią jej się nie udało...

— Dlaczego?

— Chciała urządzać w naszej gospodzie podwieczorki, na których nie byłoby wódki, tylko rozrywki kulturalne przy herbacie albo kawie. Urządziła raz taki podwieczorek, ale ludzie wódkę pili, nalewając z butelek po lemoniadzie. No i nie udało się...

Czy potrzebne do tego komentarze? Radomska pewnie nie zrezygnuje z działalności społecznej, bo to urodzona społecznica. I źle by się stało, gdyby zniechęcona odeszła. Ale środowisko powinno przyczynić się do tego aby świetlica przy zakładzie ożyła godziwą rozrywką, by szkoła stała się ogniskiem kultury i oświaty, by Komisja Kultury PGRN znalazła wreszcie dobrą wolę, czas i sposób na stworzenie jakiegoś nurtu życia kulturalnego w Trawnikach. Warunki po temu są, są przecież ludzie, trzeba tylko przełamać niezdrowe ambicyjki.

O pewnej wizycie u Karola Szymanowskiego

Fragment z pamiętników

JERZY MIECZYSŁAW RYTARD

W SIERPNIU 1922 roku nadszedł do Zakopanego, gdzie wówczas przebywałem, list od Karola Szymanowskiego z datą i godziną przyjazdu. Oczekiwałem na peronie. Kiedy znaleźliśmy się przed stacją, w towarzystwie tragarzy, objuczonych eleganckim bagażem, Karol rozglądał się uważnie, lustrując bez pośpiechu, sylwetki góralskich woźniców na kozłach dorożek, stojących długim szeregiem. Powziął wreszcie decyzję. Ulokowani w wybranym wehikule — ruszyliśmy. Przyjrzawszy się teraz dokładnie rosłemu góralowi, który nas wiózł, z zadowoleniem podzielił się ze mną uwagą o ładnym, rasowym typie „polskiego chłopa" jakim był jego zdaniem — nasz dorożkarz: rumiany, blondyn, o pełnej twarzy i niebieskich oczach — Staszek Mracielnik, z Mraźnicy pod reglami.

Pojechaliśmy do „Stamary", gdzie Szymanowski zatrzymał się chwilowo, aby wyszukać sobie później pokój, z fortepianem, ewentualnie pianinem, bliżej Krupówek.

Informuję czytelnika trochę obszerniej o tym błahym w gruncie rzeczy epizodzie, gdyż chcę sprostować wyczerpująco, niezgodny z faktami opis pierwszego po tamtej wojnie przyjazdu Karola Szymanowskiego na Podhale, oraz równie bałamutną historię wyszukania pokoju, w słynnej późniejszymi laty — „Limbie", podaną przez siostrzenicę Szymanowskiego, Krystynę Dąbrowską, w jej książeczce „Karol z Atmy".

Staszek Mracielnik, wożąc Szymanowskiego jeszcze ze „Stamary" na codzienne spacery, poradził obejrzeć „Limbę". Słyszał bowiem, że właściciel tej willi — Bukowian — ma pianino, co u górali było w tamtych czasach — ewenementem i hyr o pianinie Józka rozszedł się już po całym Zakopanem. Któryś ze stałych zakopiańczyków potwierdził tę informację. Pojechaliśmy więc do „Limby", gdyż i punkt dobry — bliziutko Krupówek. Karol obejrzał pokój, brzdąknął w klawisze pianina, orzekł, iż: „ujdzie i dla mojego celu wystarczy", zastrzegł sobie następnie u żony Bukowiana, eksnauczycielki i w dodatku nie góralki, lecz rodowitej lwowianki, że przylegający do jego pokoju, przechodni pokój, który stanowił jedyne połączenie z sienią i głównym wyjściem, nie może być wynajęty ze względu na potrzebny spokój oraz swobodę ruchów. Zapłaci drożej i tylko pod tym warunkiem zamieszka, być może na dłużej, o ile pogody dopiszą.

Sezon letni dobiegał końca, toteż Bukowianowa zgodziła się chętnie na ten warunek. W taki oto sposób odbyło się zainstalowanie Szymanowskiego w „Limbie".

Po przeprowadzeniu się Karola ze „Stamary" na ulicę Ogrodową, zapoczęliśmy coraz częściej omawiać projekt baletu opartego na motywach podhalańskiej muzyki, śpiewu i tańca, którego pomysł zaświtał nam już ubiegłego lata, toteż widywaliśmy się codziennie. A ponieważ willę Bukowiana dzielił od mego pokoiku przy ul. Chałubińskiego, gdzie rozbiłem tego lata swą turystyczną kwaterę, spory kawał drogi, zaproponował Karol, abym przeniósł się do „Limby". W ten sposób znalazłem się tej jesieni w Zakopanem pod jednym dachem z Szymanowskim.

„Limba" i my w niej.

Przez zalane słońcem okno widać góry z reglami i Giewontem na drugim planie. W powietrzu kokieteryjny spokój jesieni. Klarowny świat górski musuje w nas jak lekkie wino, ekscytuje i wprowadza nerwy w radosną wibrację.

Łącznikiem naszym z miejscową góralszczyzną był, na razie, wspomniany Mracielnik.

W pierwszą niedzielę po rozstaniu się zostaliśmy zaproszeni przez niego na chrzciny. Zabawa trwała całą noc.

Nie przypuszczaliśmy wtenczas, że ten pierwszy nasz cicerone zakopiański, w cyfrowanych portkach spisze się tak fatalnie w czasie drugiej wojny światowej. Otumaniony przez reżyserów „Gorallenvolku" — wysługiwał się Niemcom, za co zlikwidowało go podziemie, podobnie jak to załatwiono z osławionym zdrajcą — Wackiem Krzeptowskim.

Zaczęły się w „Limbie" przyjęcia, oczywiście z nieodłącznym „Winkelhausenem" na stole. Nawiązywały się nowe znajomości i przyjaźnie, odnawiały dawne. Najczęściej odwiedzali nas — Witkacy, Zamoyski i Chwistek. Jedna z tych wizyt utkwiła mi nieźle w pamięci ze względu na okoliczności i atmosferę, w jakiej upłynęła.

Pod koniec sierpnia, na zakończenie swych wakacji, mój przyjaciel i towarzysz w wspinaczkach tatrzańskich, Tadzio Ciesielski, miał ochotę na pożegnalną porcję gór, do czego zachęcała świetna pogoda, dająca gwarancję dobrej widoczności. Wyruszyliśmy więc o wczesnej godzinie do Kuźnic. W rześkim powietrzu płuca pracowały bez większego wysiłku, toteż w Kuźnicach postanowiliśmy spróbować marszu górskiego w tempie prawie pościgowym, które po wyjściu na Skupniowy Upłaz ku naszemu zdziwieniu, można było jeszcze znacznie przyśpieszyć. W ten sposób uzyskaliśmy na trasie Kuźnice — Czarny Staw Gąsienicowy niezły czas 59 minut. Normalne tempo turystycznego podejścia przez Boczań — według przewodnika Chmielowskiego — wynosiło na tym dystansie około trzech godzin. Po kwadransie odpoczynku na mchu i po solidnym posiłku zmęczenie minęło bez śladu, co nam dodało takiego animuszu, że decydujemy się na „wielką turę widokową", do której wprost zaprasza idealna pogoda.

Przez Karb, koło Długiego Stawu wydostajemy się na Świnicką przełęcz, skąd ruszamy w potężną graniówkę przez Kasprowy i Czerwone Wierchy. O zachodzie dopadliśmy szczytu Ciemniaka i tu — niespodzianka. W nasze spieczone słońcem ciała uderzył gorący podmuch halnego. Spod Krywania i Hrubego wytoczyła się purpurowa od jaskrawego zachodu morena obłoków, rulowanych w miejscu wstępującymi prądami kontrwiatrów, wypiętrzających ją ponad szczyty.

Mieliśmy pierwotnie zamiar przenocować w szałasie na Hali pod Upłazem i ruszyć nazajutrz w Zachodnie. Ale, wiadomo — halny niesie potop więc rozsądniej — skończyć ten graniowy lot i — wracać. Przez Miętusią i Przysłop splanowaliśmy w dolinę zakopiańską. I teraz odezwała się natychmiast moja wrażliwość na spadek ciśnienia barometrycznego. Im niżej się schodziło, tym silniejsze czułem rozklejanie całego organizmu. Trzeba było zwalniać coraz bardziej tempo, gdyż nogi odmawiały mi posłuszeństwa, ciężkie jak bukowe kłody. Sytuację poprawił trochę księżyc, oświetlający drogę.

Tutaj, na dole, zastaliśmy sytuację meteorologiczną poprzedzającą zwykle nadejście halnego: niezwykle niskie ciśnienie, a obrzydliwą parność. Powietrze, za ciepłe jak na górską noc, lepiło się do ciała. A do tego wszystkiego — nerwy moje prawie w zupełnej galarecie. Znowu mi się przypomniały zasłyszane od matki balladolenia Wysockiej: tak źle znosiła ona każdą zmianę pogody, a zwłaszcza gwałtowne spadki ciśnienia, że czując się wówczas ciężko chora, kładła się do łóżka. Dolegliwości te prześladują mnie do dzisiejszego dnia.

Teraz dopiero dał znać o sobie całodzienny wysiłek. Karol spał od dawna, gdy dowlokłem się do „Limby". Pomimo otwartego na oścież okna, w pokoju panował upał. Długo nie mogłem zasnąć ze zmęczenia; rozwidniło się już dobrze, kiedy zdrzemnąłem się wreszcie, rozbity i osłabiony. Budziłem się co chwila, wszystko to było męczące.

Z denerwującego półsnu wyrwały mnie donośne głosy Witkacego i Chwistka. Wtargnęli do nas — to najlepsze określenie — w połowie ożywionej dyskusji. Witkacy z pliką zeszytów „Skamandra" pod pachą co mnie... zaniepokoiło. „Skamander" drukował przez cały rok 1922 — moją opowieść poetycką „Wnebowstąpienie". Na razie jednak zajęli się koniakiem, którego butelkę wyjął

(Dokończenie na str. 7)

NAD BRONIEWSKIM

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Śmierć Broniewskiego odczułem tak samo głęboko, jak w ubiegłych latach odejście Tuwima i Staffa, tym bardziej, że stykałem się z nim osobiście, gdy Tuwima znałem jedynie z korespondencji, a na Staffa patrzałem tylko nabożnie na ulicach Charkowa, nie śmiejąc, dwudziestoletni terminator, zbliżyć się do mistrza.

Nie byłem na pogrzebie, ale jeszcze przed nim uczciłem pamięć poety w najwłaściwszy sposób, spędziwszy z nim kilka godzin niedzielnych i przeczytawszy ponownie wszystkie jego wiersze oryginalne, od debiutanckich „Wiatraków" począwszy. I choć większość z nich pamiętałem doskonale, a strofy niektórych miałem utrwalone w pamięci, odsłonił mi się wyraźnie, jak nigdy dotąd, artysta i człowiek. I jeszcze raz uprzytomniłem sobie wzruszającą prawdę, którą odkryłem już czytając i tłumacząc wstrząsający rozdział „Oceano Nox" wspomnień Hercena, że „podpalacze serc", „dynamitardzi sumień", niezłomni trybuni ludowi, którzy tyle siły potrafią wlać w swe słowa, którzy zdają się być potężną bryłą granitu, okazują się bezradnymi, cierpiącymi dziećmi wobec osobistego nieszczęścia.

Bo Broniewski był jak i Hercen trybunem ludowym, szermierzem sprawiedliwości społecznej i słusznie podkreślił to Putrament w swych pożegnalnych słowach nad grobem poety, mówiąc że w twórczości swej autor „Krzyku ostatecznego" przejął berło po Żeromskim, kontynuując bardziej wyraźnie i konsekwentnie bojową linię twórcy „Róży" i „Przedwiośnia".

Ten tyrtejski, romantyczny ton poezji Broniewskiego w jego dynamicznych wierszach rewolucyjnych czy patriotycznych dominuje przede wszystkim i jemu właśnie zawdzięczał poeta swą olbrzymią popularność wśród postępowej inteligencji i mas robotniczych. Ta mobilizująca siła jego zwrotek. Nieraz już przypominano, jak to na parę lat przed wybuchem wojny na lwowskim zjeździe lewicy kulturalnej cała sala podjęła za recytującym „Zagłębie Dąbrowskie" odpowiedź na ostatnie słowa wiersza: „Zapalać! Gotowe?" — „Gotowe!"

U zarania życia poety legło rozczarowanie. Wspomina o tym otwierający „Wiatraki" wiersz „Młodość". Młodość legionisty w rowach strzeleckich, w dymie płonących chałup. Ta „Młodość" z puentą o „pękniętym głupim sercu siedemnastoletnim". Do tej bolesnej sprawy wróci Broniewski w wierszu „Do towarzyszy broni".

Niejedno jeszcze rozczarowanie spotka w życiu poetę. Czy autor pacyfistycznego „Soldat inconnu" i „Ostatniej wojny" przypuszczał, że po kilkunastu latach napisze tak mocny patriotyczny apel, jak „Bagnet na broń", wzywający do walki tym razem nie z wrogiem klasowym, ale z wrogiem naszej niepodległości. I że będzie się cieszył z karabinu w garści, „co w boju nie chybi"? Czy opowiadając o „Rozmowie z Janem" mógł przewidzieć, że „pielgrzymów rówieśnik" napisze do córeczki „List z więzienia? A gorzki sarkazm „Targowiska" w zestawieniu z pieśnią o bohaterstwie „Monte Cassino"? Nie na próżno w wierszu „Do poezji" stwierdził: „Wiele razy los mnie oszukał, ale ś ty najwierniejsza z gwiazd".

I dlatego czytając ponownie całego Broniewskiego przyszedłem do wniosku, że ten wspaniały bojowy poeta, ten dobry człowiek był w gruncie rzeczy nieszczęśliwy. Prawda, że doczekał spełnienia swych pragnień rewolucyjnych, wyzwolenia ojczyzny, że w odrodzonej Polsce opiewał jej dźwiganie się z ruin i szybką odbudowę. Prawda, że wśród żyjących poetów cieszył się największą zasłużoną popularnością.

Ale ten irracjonalny smutek, który od czasu do czasu dysonansem wdzierał się już do jego przedwojennej dynamicznej liryki: „jak błękitny płomień alkoholu płoniesz we mnie, moje nieszczęście", „Ach, muszę się wypalić do dna i do końca (...), zanim upadnę gwiazdą obłędem płonącą, kometą słów bolesnych, a światu zbytecznych", „jak odnaleźć radość i młodość, gdzież jest miłość, miłość zwycięska?", „nie uszedłem w życiu pół drogi, a już zewsząd czai się rozpacz", ta minorowa tonacja „Ziół", „Nocnego gościa", „Chwil", „Biesów", „Komety", „Nie wiem" i innych wierszy, nieraz celowo tuszowanych autoironią, — to wszystko jeszcze bardziej zawładnie zbiorkami wojennymi: „Bagnetem na broń", a zwłaszcza „Drzewem rozpaczającym". Tutaj znów źródłem tego nastroju jest klęska ojczyzny, tułaczka, nostalgia, tęsknota za bliskimi. O śmierci pisał Broniewski nieraz — o własnej już we wczesnych zbiorkach, choć jeszcze od niego była tak daleko. Ale teraz śmierć czyni spustoszenie na całym świecie, a zwłaszcza bolesne, że w Polsce, wśród żołnierzy polskich w diasporze, i co — egoistycznie, ale ludzko — najstraszniejsze, godzi w najbliższych sercu poety. Wzruszające jest „Monte Cassino", „Mogiły", „Ballady i romanse" czy „Ciała". Ale „Sen", „Malaria", „Maria", „Ręka umarłej", „Żona", „Moja miła", „Ja i wiersze", są w swym smutku beznadziejne. To nie istotne, że Maria jeszcze wtedy żyła, ale jak dogłębnie odczute.

Ale z wszystkiego mógł się Broniewski wydźwignąć, tylko nie z rozpaczy, która stopniowo przechodzi w tępy nieodstępny ból, po stracie ukochanej córki. Tej, do której już w zbiorku „Troska i pieśń" zwraca się „córeczko miła" z zapytaniem, „jak wymarzyć na łące nieba milsze piosenki", do której tęskni w Palestynie, do tej „córki-bzdurki", z którą chciałby polecieć „na chmurce, na białej do doliny Roztoki, żeby tam życie całe chodzić z Anką po górach, patrzeć na Hawrań i Murań, włazić w potoki", o której z trwogą myśli, że może płakać, gdy gestapowcy „będą plugawą ręką przetrząsać jego biurko".

„Wiersze do Anki" to współczesne „Treny" w prawdzie bólu bicowskiego stanąć godne obok Żeromskiego „Wspomnień o Adamie". Ta śmierć ponurym cieniem legła na ostatnie lata życia poety. Jeszcze w jednym z ostatnich wierszy, w „Bratku", pisanym w szpitalu, obsesyjnie pyta zmarłej: „A czy tam ciepło w tej jesionowej wąskiej trumnie?" I oświadcza: „Chciałbym umrzeć". Czy przeczuwał, że już wkrótce temu życzeniu miało stać się zadość?

Czytając wiersze poety, recytując je na wieczorach świetlicowych i w halach fabrycznych, rozpalając nimi serca do tego, co piękne i wzniosłe, i wierząc wraz z nim, że nadejdzie czas, gdy „jedna powstanie rasa, najwyższa: ludzie szlachetni", nie zapominajmy, że autorem ich był człowiek smutny i nieszczęśliwy.

Listy o poezji (7)

Przeciwko zachodom słońca

ANNA KAMIEŃSKA

„Między pełnym westchnień i łez stylem końca XVIII wieku i przesadnie muskularnym stylem naszych czasów istnieje jednak bliskie powinowactwo. Łączy je nieumiar, oba są tylko odmianami sentymentalizmu..."

Paweł Hostowiec

NAJMODNIEJSZYM bodajże epitetem krytycznym w odniesieniu do literatury jest dziś przymiotnik: drapieżny. Że niby wiersz lub proza są drapieżne. Że autor przeprowadził coś drapieżnie. Że metafora jest drapieżna. Podoba nam się drapieżność. Nie lubimy ckliwości i sentymentalizmu. Jeden ze znanych krytyków obrusza się na wszelką rzewność w sztuce i twierdzi, że gdy tylko zaczyna się wzruszać, jest to dla niego sygnał, że ma do czynienia ze szmirą. Jest to już chyba skrajny przykład niestrawności i objedzenia się sztuką. Przecież sztuka istnieje między innymi po to, aby wzruszać.

A jednak wszyscy, jeśli chodzi o poezję, czujemy się trochę jak po zbyt sutym obiedzie. Już wszystko niemal było. I filozoficzność, i dydaktyzm, i sentymentalny liryzm, i podniosłość, i opisowość. Była rozlewność epiki i lapidarność epigramatu. Było i nowatorstwo, i jeszcze raz nowatorstwo, jakby o nowatorstwie można powiedzieć, że było.

Jesteśmy przejedzeni i potrzebne nam są coraz ostrzejsze przyprawy. Coraz brutalniejsze muszą być obrazy, aby mogły poruszyć wyobraźnię. Coraz wymyślniejsze łamańce stylu i języka — aby zasługiwały na uwagę. Mówię oczywiście ironicznie.

Piękno od dawna przestało się liczyć, a w każdym razie piękno w jakimś sensie tradycyjnym. Ze wszystkich pojęć — moralnych, światopoglądowych, obyczajowych — piękno jest przecież pojęciem najbardziej względnym.

Nawet ideał pięknej postaci i twarzy ludzkiej zmieniał się w różnych epokach. Dzisiejsza piękność być może uchodziłaby za brzydotę w okresie piękna klasycznego.

Zresztą w malarstwie i w prozie od dawna, a w poezji od Baudelaire'a, piękno harmonii i ładu istniało obok charakterystycznej i ekspresyjnej brzydoty. Na starych obrazach flamandzkich zachwycają nas twarze bezzębnych staruch i wielkie pijackie gęby wieśniaków ozdobione brodawkami.

Dziś brzydota niemal że wyrugowała z poezji piękno, a młodzi poeci nie odważyliby się, chyba że drwiąco i ironicznie, pisać o zachodach słońca. Tuż po roku 1956 ukazał się tomik młodo i tragicznie zmarłego poety krakowskiego Andrzeja Bursy, jednego z prekursorów młodej fali w poezji. Pisał on, że widział zachód słońca i publiczny wychodek i dodawał spokojnie:

„Nie znajduję specjalnej różnicy".

To, co u Andrzeja Bursy było młodzieńczą egzaltacją — przekształciło się u wielu poetów w manierę, w ornamentacyjność.

Widziałam w Czechosłowacji kaplicę stojącą w miejscowości dotkniętej niegdyś zarazą. Cała ta kaplica była wewnątrz ozdobiona elementami kościów ludzkich. Piszczele nóg i rąk zwieszały się we wdzięcznych girlandach. Drobne kosteczki palców rąk i stóp tworzyły frędzelki lichtarzy i świeczników. Czaszki ludzkie były fragmentami fryzowego ornamentu biegnącego wzdłuż ołtarza. To nagromadzenie okropności nie było już tragiczne. Było śmieszne. Przesada nadała tu makabryczności odmienne, a nawet odwrotne zabarwienie uczuciowe. Jest to pewne prawo psychiki, na którym zresztą opiera się np. często humor angielski.

Także niezamierzone efekty makabryczności wywołują niektóre wiersze młodych poetów, wiersze chrzęszczące szkieletami i kapiące od potwornej fizjologiczności. Aby wyrazić miłość, młody poeta musi rozpłatać brzuch ukochanej i ukazać jej dymiące wnętrzności. A już śmierć z reguły traktowana jest jako zjawisko wyłącznie fizjologiczne.

Ornamentacyjność i dekoratywność takiego ujęcia brutalności życia i śmierci odbiera im zamierzoną ostrość.

Młodzież nasza nie zna i nie pamięta ostatniej wojny. Obrazy grozy wojennej są jej na szczęście obce i mogą być traktowane wyłącznie na płaszczyźnie chwytów literackich lub filmowych. To wielkie i tragiczne doświadczenie starszego już pokolenia jest tylko kopalnią ostrych, brutalnych sytuacji, w których życie co krok styka się ze śmiercią. Dorównuje to niemal w drapieżności ulubionej przez młodzież literaturze amerykańskiej.

W poszukiwaniu ostrych efektów młoda poezja sięgnęła do nadrealizmu, który miał swoje typowe obsesje tematyczne. Pamiętamy zwłaszcza obrazy malarskie francuskich nadrealistów. Ich wizja polegała na szczególnym pomieszaniu elementów ciała ludzkiego z obrazem zamkniętego wnętrza. Obsesja zamkniętego pokoju, czterech ścian bez okien, obsesja podłogi i sufitu, potworów zamieszkujących to wnętrze w postaci stołu i krzesła. Tym wnętrzem ograniczony jest człowiek, ale nie jest to człowiek jako całość, jako osoba. Jego noga podpiera kulawy stół, a w dodatku jest zraniona i kapie z niej krew. Zmierzwiona głowa wyłania się z czarnej dziury w podłodze, z jakiejś makabrycznej pułapki. Na suficie przykleiło się oko człowieka, a jego odcięta ręka wisi sobie na haku zamiast lampy.

Takie i tym podobne wizje wprowadzają w beznadziejność egzystencjalistycznej filozofii. Człowiek bez możności scalenia swej osobowości, człowiek zamknięty w czterech ścianach, człowiek przemieszany ze stołkami, z rurami od piecyka i z przewodami od wody, gazu i elektryczności. Człowiek ociekający krwią i poćwiartowany — to właśnie tragiczny poeta trudzący się nad określeniem siebie samego, odrażający, ale nieszczęśliwy, liryk wieku odrzucającego wszelki romantyzm, piękno, ład, racjonalizm i proste wzruszenie sztuki.

Oczywiście, nie uogólniajmy. Poetów takich nie mamy zbyt wielu. Miron Białoszewski, Tadeusz Różewicz w nieaktualnych już dziś dla niego „Czarnych formach", Stanisław Grochowiak również odchodzący dalej śladami Norwida, oraz ich młodsi lub mniej zdolni naśladowcy.

Czytelnicy oburzają się spotkawszy to zjawisko w skrajnych formach np. w poezji Białoszewskiego, któremu przecież tak pięknie udawały się też zupełnie odmienne Ballady rzeszowskie. Ten odruch niechęci i oburzenia jest chyba zdrowy, ale przeszkadza zrozumieć tę poezję. Przeważnie przecież nie jest to sprawa rozumienia, ale właśnie przykrości i niechęci, jakie obrazy tego rodzaju w nas wzbudzają. Wielu wzniosłych wierszy także nie rozumiemy do głębi, ale nie odwracamy się do nich.

Na szczęście poezja nasza jest bardzo różnorodna i mamy niejednego pięknego poetę, który godzi nas z poezją na powrót.

Ale być poetą jest dziś naprawdę coraz trudniej. Dewaluacja piękna jest rzeczywistością. Szczególnie silnie i odpychająco odczuwamy dziś wszelki banał, ckliwość, łatwiznę skojarzeń, ornamentacyjność stylu i uwiąd formy.

Trzeba szukać nowych obszarów „piękna" poetyckiego.

A nie jest to wcale łatwiejsze niż poszukiwanie głęboko ukrytych złóż siarki.

PIEWCA NUTY CZŁOWIECZEJ*

ROMAN ROSIAK

Z nazwiskiem, które nosi autor „ballady z tamtej strony" spotykamy się już w XVI w. we wsi Krzczonów w powiecie lubelskim, gdzie proboszczem był wówczas arianin, Marcin Czechowicz, znany nie tylko z działalności duszpasterskiej, ale również pióra. Mimo, że od tego czasu minęło kilka wieków, w tej wiosce słynącej z pięknych strojów i wyjątkowych aspiracji w dziedzinie oświaty i kultury, nazwisko Czechowicza nie zaginęło. Noszą je członkowie kilku rodzin, notabene częstokroć już ze sobą skoligaconych do dzisiaj. Z Krzczonowa wywodził się właśnie i ród Józefa Czechowicza, dlatego należy przypuszczać, że sławny Marcin mógł być jego dalekim krewnym.

W ocalałych notatkach poety znajdujemy kilka zdań na temat narodzin ich autora i jego dzieciństwa, które warto zacytować chociażby we fragmentach:

„Józef Czechowicz, syn Pawła i Małgorzaty z Sułków, urodził się jako czwarte z kolei dziecko w rodzinie, czwarte i ostatnie. (...) w dniu 15 marca 1903 roku o godzinie 9 minut trzydzieści rano.

Urodził się w suterenie, w tej samej, w której zmarła jego matka, w domu numer trzy, przy ulicy Kapucyńskiej w Lublinie (obecnie dom Morajnego, na ówczas — własność Banku Handlowego w Warszawie)".

Nie było to „dzieciństwo sielskie, anielskie", wprost przeciwnie o tych latach pozostało w twórczości Czechowicza wspomnienie pełne smutku i goryczy:

kiedyś
dzieciństwo złe szczenię szczekało w dni
wodospadach
głodnego na tapczanie gorączka mnie żarzyła
i jadła
połatane ubranko szeptem opowiada
ręce chropawe od pracy dla mnie kradły
(„Jedyna")

Początkowo, tj. od roku 1913, przyszły poeta uczęszczał do elementarnej szkoły rosyjskiej w Rynku Starego Miasta w Lublinie, później przy ulicy Bychawskiej, natomiast w czerwcu 1917 roku ukończył Pierwszą 7-klasową Szkołę Miejską (męską) w Lublinie. Rodzice Czechowicza po przeniesieniu się z Krzczonowa do Lublina żyli w bardzo skromnych warunkach materialnych. Ojciec był woźnym w Banku Handlowym, matka pomagała mu dorywczą pracą fizyczną w utrzymaniu 5-osobowej rodziny. Nie przeszkodziło to jednak ambitnym rodzicom w wykształceniu najstarszego syna, Stanisława, który po ukończeniu szkoły średniej studiował prawo (zmarł na gruźlicę mając 26 lat), córki Kazimiery, która ukończyła szkołę średnią (zginęła w czasie ostatniej wojny w wieku 40 lat), i wreszcie Józefa, który ukończył w Lublinie Seminarium Nauczycielskie oraz Wyższy Kurs Nauczycielski. Jako młody absolwent dostał posadę w szkole jezuickiej w Słobódce, a później we Włodzimierzu. Po otrzymaniu stypendium studiował w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, która oddała go Lublinowi jako wykwalifikowanego pedagoga. Czechowicz otrzymał pracę w szkole specjalnej, gdzie był początkowo nauczycielem, później zaś kierownikiem. Nie była to praca łatwa, uczniowie rekrutowali się spośród dzieci niedorozwiniętych umysłowo. Trzeba było zatem mieć naprawdę powołanie i dużo taktu pedagogicznego, a nawet poświęcenia, by podołać obowiązkom. Zapału starczyło Czechowiczowi nie na długo, dość szybko zdecydował się na rozwód z zawodem nauczycielskim, by pozostać wiernym swojej jedynej kochance — literaturze.

O pracy szkolnej i stosunku do niej przyszłego autora „kamienia" świadczą dzisiaj m. in. artykuły w „Ognisku Nauczycielskim, a także rękopis rozprawki „O szkole specjalnej". Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że praca nauczycielska najwyraźniej poecie nie odpowiadała, obca była jego psychice, wyobraźni, umiłowaniu swobody, poszukiwaniu nowości. Mówią o tym notatki z dziennika z 1922 roku, w którym m. in. czytamy:

„13 maja. Sobota.

Bardzo mi smutno od rana. Jest chmurno. Dzieci senne. Lekcje wloką się tak, że końca doczekać się trudno. (...) Zabijam nudę poprawianiem zeszytów. (...)

16 maja.

Smutno. Cóż więcej zanotować?"

Od nastroju nudy i zniechęcenia oraz niepowodzeń życiowych prowadzi droga aż do próby samobójstwa. Młody nauczyciel załamał się pod wpływem przeżyć, targnął się na własne życie. Ale kula nie była zbyt celna, nie od niej miał zginąć przyszły poeta i nie na słobódkim cmentarzu było dla niego miejsce wiecznego spoczynku.

Przeżycia w Słobódce odsłoniły bezsens jego dalszej pracy pedagogicznej i wskazały właściwą drogę. Nie mogło być zresztą inaczej — do głosu musiała dojść poezja. Powstają więc w Słobódce pierwsze liryki Czechowicza, jak również proza poetycka — „Opowieść o papierowej koronie", która znalazła się na łamach lubelskiego czasopisma „Reflektor" w 1923 roku.

Zwrot od pedagogiki do poezji pociągnął za sobą dalsze nieuniknione konsekwencje — Czechowicz musiał opuścić Słobódkę i przenieść się do Lublina. Tu rozpoczyna pracę dziennikarską i nawiązuje kontakty z poetami lubelskimi: Konradem Bielskim, Wacławem Gralewskim i nieco później Stanisławem Grędzińskim. Plonem tej przyjaźni i współpracy było wydawanie czasopisma „Reflektor", którego tylko cztery numery ujrzały światło dzienne i to w znacznych odstępach czasowych (1923—1925). Wspomnienie tych czasów odnajdujemy w wierszu Czechowicza pt. „We czterech", gdzie poeta pisze:

Jest nas czterech na starcie
jest nas czterech na złotej linii komety
jest nas czterech (to ja jestem czwarty)
jest nas czterech celujących do mety

Dzięki „Reflektorowi" Czechowicz mógł nie tylko wydrukować swoje pierwsze utwory, ale także otrzymać w roku 1927 własny tomik poezji pt. „kamień". Na łamach „Reflektora" ukazał się też jeden z najlepszych utworów Czechowicza „Na wsi", stanowiący zapowiedź nieprzeciętnego talentu. Nic też dziwnego, że gdy na półkach księgarskich ukazał się debiutancki tomik lubelskiego poety, Warszawa powitała go bardzo pozytywnie. Po ukazaniu się „Kamienia" Władysław Sebyła i Konstanty Ildefons Gałczyński przepowiadali Czechowiczowi, że szybko wypłynie ku górze i stanie się wodzem młodego pokolenia poetów. Przyszły autor „Wita Stwosza" tak pisał m. in. o „Kamieniu":

„Macie silne ręce, Czechowicz. Witamy Was w „Kwadrydze".

Nie inaczej zresztą powitany został i drugi tom Czechowicza pt. „dzień jak codzień", wydany w roku 1930, o którym pisał Stefan Napierski:

„...ten tom wierszy uważam za jeden z najlepszych, jaki od wielu lat ukazał się w Polsce (...), przywraca on wiarę w siły młodego pokolenia i pozwala najnowszą poezję naszą konfrontować z poezją Zachodu".

Na następne tomy nie trzeba było czekać długo — w roku 1932 ukazał się zbiór wierszy pt.: „ballada z tamtej strony", w 1934 — „w błyskawicy", w 1935 — „Stare kamienie" (tom wierszy o Lublinie przygotowany wspólnie z Franciszką Arnsztajnową), w 1936 — „nic więcej", w 1937 — „Arkusz poetycki" i wreszcie w 1939 — „nuta człowiecza".

Niezależnie od odrębnych tomików utwory Czechowicza pojawiały się na łamach wielu czasopism, nie wyłączając nawet pism dziecięcych.

Nie koniec na tym. Trzeba jeszcze pamiętać o próbach prozy (m. in. „Opowieść o papierowej koronie" i „Opowieść o Hiramie Czarnoksiężniku"), dramatach („Czasu jutrzennego" i „Bez nieba"), a wreszcie licznych felietonach, recenzjach i artykułach oraz słuchowiskach radiowych. Jeżeli do oryginalnej twórczości Czechowicza dodać jeszcze liczne przekłady poetyckie z literatury rosyjskiej, czeskiej, angielskiej, francuskiej, gdy weźmiemy pod uwagę także fraszki i utwory dla dzieci pisane najczęściej

(Dokończenie na str. 7)

---

*) Fragmenty wstępu do „Wierszy zebranych" Józefa Czechowicza, którymi Wydawnictwo Lubelskie rozpoczyna w br. czterotomową edycję Dzieł poety. Drukujemy tekst — bez odsyłaczy.

To płacze noc w ruinach Kołobrzegu

WACŁAW GRALEWSKI

NAGŁE przerwanie ognia spowodowało wstrząs. Cisza, która znienacka zapadła, stała się zbyt silnym kontrastem. Uderzył on w bębenki równie mocno jak nagły wybuch pocisku dużego kalibru. Jeszcze kilka minut temu kilkupiętrowa kamienica, obok nas, rozleciała się na drobne kawałki. Wielki słup czarnego dymu znaczył miejsce eksplozji. W domu tym było kilkunastu naszych żołnierzy. Zapewne wszyscy zginęli.

Ale ta nagła cisza, pierwsza od wielu dni, stała się zdarzeniem, które odwróciło uwagę od innych spraw. Zjawiła się niespodziewanie, choć oczekiwana była lada chwila, lada godzinę. Przecież Niemcy, mocno przyparci do morza, powinni byli dawno się poddać. Musiało w tym oporze być jakieś „ale", bo bronili się zaciekle, z rozpaczą straceńców.

W Kołobrzegu załogę stanowiły jednostki Wehrmachtu, oddziały Volkssturmu i dobrze wyposażona dywizja SS. Wspomagało ją lotnictwo, które bazę miało za Odrą, i eskadra morska, składająca się z krążownika, kilku kontrtorpedowców i ścigaczy. Ogień eskadry był przykry dla żołnierzy naszej dywizji, którzy zetknęli się z nim po raz pierwszy. Szczególnie wielkie działa artylerii krążownika, strzelającego z dużej od brzegu odległości, oddziaływały na nacierające oddziały deprymująco. Pociski zwykłych armat, miotaczy min czy nawet bomby lotnicze sygnalizowały swój lot świstem i sykiem. Żołnierze nauczyli się odróżniać każdy kaliber i każdy rodzaj strzelającej broni. Zanim następował wybuch, już wiedziano, co to za gagatek leci i gdzie upadnie. Zdołano zawsze „odsunąć się" na kilkanaście przynajmniej metrów. „Kuferki" krążownika zachowywały się inaczej. Odbywały lot po bardzo stromej krzywiznie, spadały na cel nagle i wybuchały z olbrzymią siłą. Mimo że od wielu dni trwał nieprzerwanie niemal huraganowy ogień różnych rodzajów broni, te eksplozje odcinały się wyraźnie od tła inną falą dźwiękową i stanowiły wysoce nieprzyjemny akcent gigantycznego dysonansu. Każdorazowy wybuch wbijał się jakby olbrzymia szpila w piersi, hamował oddech i wstrząsał całym wyczerpanym ciałem.

— A niech cię nagła cholera!... — wykrzykiwali przez zęby żołnierze. I ja uległem temu wrażeniu, gdy nie więcej niż w odległości kilkudziesięciu metrów apokaliptyczny młot uderzył w dom i sproszkował go.

A potem szarpnięcie w przeciwną stronę — cisza.

To też jest rodzaj bardzo nieprzyjemnego dźwięku, gdy zaskoczy nieprzygotowanego. Tyle, tyle godzin lały się jak piekielny deszcz w spuchnięte uszy strumienie głosów diabelskiej orkiestry i nagle wszystko się urwało.

Słyszę, jak po schodach na pół zrujnowanego domku, w którym znaleźliśmy nasze azylum, ktoś szybko idzie. Za chwilę w drzwiach zjawiła się sylwetka kaprala Gostkowskiego, z dywizyjnej kompanii zwiadowczej. Twarz ma czarną i niemal skurczoną pod wpływem wielkiego zmęczenia. Ale oczy jarzą mu się jak u kota, który zobaczył w pobliżu wróbla.

— No wreszcie poddały się te skurwysyny, teraz fajrant — woła z jakimś przytłumionym akcentem szaleństwa w głosie i rzuca na podłogę plecak, w którym chroboczą metalowe przedmioty. Pokazuje na niego palcem i szepce konspiracyjnie: — Oficerskie konserwy. Tu niedaleko w kaplicy jest ich dużo. Niemcy zrobili skład. Chodźmy, panie poruczniku, nim się zwiedzą inni!

Niemieckie konserwy oficerskie były znakomite. Puszki zawierały mięso tuczonych kaczek, kur i indyków, z których kości zostały wyjęte. Zwykli wehrmachtowcy dostawali wieprzowinę lub wołowinę. Wiadomość była podniecająca. Wyprostowałem zdrętwiały grzbiet, po którym zaczęły przebiegać elektryczne dreszcze. Widocznie wiadomość o zakończeniu walk wywołała dodatnie reakcje. Przyłączyło się do nas jeszcze kilku żołnierzy i ruszyliśmy prowadzeni przez kaprala.

Walka skończyła się przed świtem. Było jeszcze ciemno, choć szarzało, gdy wyszliśmy na zawaloną gruzami ulicę. Posuwaliśmy się powoli. Marsz utrudniały leje, wyrwy oraz zawalone ściany domów. Poskręcane blachy zerwane z dachów, połamane i powyrywane z korzeniami drzewa stanowiły zespół niesamowitych barykad i zapór. Gdzieniegdzie leżały jeszcze trupy.

W miarę jak się rozwidniało, obraz zniszczenia ukazywał się w jaskrawej formie.

Dla tego miasta, słynącego kiedyś jako chętnie odwiedzane kąpielisko i miejsce uzdrowiskowe, był to koniec świata.

Prawie dwanaście dni trwały walki uliczne, każdy najmniejszy dom stawał się redutą, każdy załom służył jako punkt oporu, albo odskocznia do ataku. Wiele domów płonęło, toteż nad Kołobrzegiem unosiły się olbrzymie chmury skłębionych dymów. Widać, że to była walka nie na żarty i że zaciekły opór Niemców miał jakieś strategiczne uzasadnienie. Choć łatwo było się domyśleć jakie. Chodziło przecież o opóźnienie ataku na Szczecin i o utrzymanie punktu, który kontrolował duży odcinek przybrzeżnych dróg, po których mogły szybko poruszać się nieprzyjacielskie jednostki. Ale był jeszcze inny, bardziej lokalny powód. Kołobrzegu broniła wyborowa dywizja SS. Miała być w razie klęski ewakuowana morzem. Jej ewakuację okrętami osłaniały oddziały Volkssturmu.

SS-mani wiedzieli, jaki los spotka ich w razie dostania się w ręce zwycięzców. Przynajmniej takie żywili przekonanie.

Toteż rzucając na pierwszą linię obrony volkssturmistów, sami szybko pakowali się na małe okręty transportowe, kutry rybackie i zwykłe żaglówki, byle tylko pod osłoną ciemności wydostać się z zagrożonego miejsca. Ale Volkssturm nie nadawał się do roli, jaką mu wyznaczyli prefoctanie hitleryzmu. Złożony częstokroć ze starych, niedołężnych ludzi i młodzieży poniżej lat szesnastu, kiepsko uzbrojony i jeszcze bardziej kiepsko, bo dorywczo wyćwiczony, stawiał tylko jaki taki opór w pierwszych dniach walki. Potem zaczął się szybko załamywać.

Inne oddziały nie były lepsze.

Kiedyś zwiadowcy przyprowadzili kilkunastu jeńców. Obdarci, głodni, wyczerpani do ostatnich granic, stanowili grupę podobną do więźniów obozów koncentracyjnych — słabo tylko przypominali żołnierzy. A jednak byli to żołnierze regularnego oddziału Wehrmachtu.

I wszyscy robili wrażenie ludzi nie pierwszej młodości.

— Ile masz lat? — zapytałem jednego z nich.

— 46 — odpowiedział.

— Jaki miałeś przydział?

— Magenbatalion — wyrecytował służbiście.

— Że co? — zawołałem zdumiony.

— A wy — zwróciłem się do następnych. Wszyscy byli rzeczywiście starszymi ludźmi i wszyscy mieli przydział do... Magenbatalionu. Nie wyglądali na takich, którzy mieliby chęć i odwagę kpić.

Przejrzałem ich Soldbuch'y. We wszystkich widniał przydział do Magenbatallionu.

— Ki diabeł?!...

Dopiero dalsze indagacje uchyliły rąbka dość niezwykłej prawdy.

W Kołobrzegu były liczne szpitale i sanatoria dla ozdrowieńców i dla żołnierzy chorujących na niedomogi przewodów pokarmowych. Wrzody żołądka czy dwunastnicy trafiały się najczęściej. Kiedy oddziały radzieckie i I Armii Wojska Polskiego zagroziły Kołobrzegowi, zaniechano jakiejkolwiek myśli o ewakuacji.

Wszystkich chorych ubrano w mundury, stare i podarte, dano broń i sformowano... Żołądkowy Batalion.

— Gdy Vaterland w niebezpieczeństwie, nie ma czasu na cackanie się — powiedziano im stanowczo, a kilku, którym karabiny wypadały z rąk, rozstrzelano dla przykładu, aby innych w ten sposób zmobilizować wewnętrznie i dodać żołnierskiego ducha. Tak zeznali jeńcy.

Widocznie ta metoda musiała mieć jakieś wartości lecznicze, bo mimo dolegliwości żołądkowych spałaszowali jedzenie, jakie im dała nasza kuchnia, a potem osunęli się pod ścianę w korytarzu i zasnęli głęboko. Robili wrażenie trupów, które po chwilowych przejawach życia znów wróciły do swej zasadniczej roli.

KAPRAL Gostkowski parokrotnie zawracał. Gubił ścieżkę, po której wśród ruin docierał do kaplicy a inną drogą prowadzić nas nie chciał, bo jak słusznie rozumował, wiele przejść było zaminowanych. Wreszcie odnalazł zwiadowczym węchem właściwe dojście.

Do kaplicy, otoczonej połamanymi i popalonymi drzewami, wchodziło się po kilkunastu stopniach. Była niewielka i miała charakter rotundy. W środku znów trzeba było zejść po kamiennych schodach w dół. Główna nawa była okrągła jak arena cyrkowa i pokryta licznymi płatami wojłoku. Dookoła niej stały liczne skrzynie z konserwami i butelkami alkoholu. Wyczerpani wielodniowymi zmaganiami, zmęczeni i niewyspani, nie mieliśmy ochoty penetrować wszystkich kątów i rozbijać wszystkich skrzyń. Rozbiliśmy kilka z brzegu. Rzeczywiście zawierały oficerskie konserwy. Wziąłem kilka puszek i dwie butelki koniaku. Pomyślałem z pewną satysfakcją, że koledzy powitają mnie słowami uznania. Postanowiłem opuścić kaplicę i pozostawić kaprala z żołnierzami, myszkującymi pilnie wśród skrzyń i wielkich pak.

Aby skrócić sobie drogę do wyjścia wszedłem na leżące, na środku nawy, wojłokowe przykrycie. Nogi zaczęły mi się wykręcać i zapadać lekko. Widocznie hitlerowcy nagromadzili tutaj jakieś toboły. Miękkie uginające się przedmioty robiły wrażenie waliz, plecaków, zrolowanych koców i pęków ubrań. Może płaszcze i mundury. Często taki magazyn mundurowy połączony był z magazynem żywnościowym. Zmęczenie tłumiło ciekawość i raczej myślałem o szybkim wydostaniu się z kaplicy i powrocie do kwatery. Och, umyć się, ogolić, napić mocnej herbaty, zwalić na jakiś tapczan i zasnąć tak na dwa dni co najmniej. Jednocześnie jednak w kącikach mózgu biegała, niby mysz pomiędzy workami, złośliwa myśl: — Umyć się i ogolić to możesz, może nawet napijesz się herbaty (choć niezbyt mocnej i niezbyt dobrej) ale spanie wybij sobie z głowy. Trzeba przecież przesłać raport do dowództwa o sytuacji no i być może trzeba będzie maszerować dalej, śladem uciekającego wroga.

Ta myśl mnie otrzeźwiła. — Nie ma się co śpieszyć — zakonkludowałem. Stanąłem. Dopiero teraz poczułem chęć zaglądnięcia pod wojłokowe pokrycia.

— Chodźcie no tu — krzyknąłem do najbliżej znajdujących się żołnierzy. — Coś tu Niemcy nagromadzili.

Żołnierze zbliżyli się chętnie. I ich zaintrygowała myśl, co się znajduje pod spodem. A nuż jakieś pierwszorzędne trofeje. To byłoby niegłupie.

Zaczęli energicznie ściągać płachty wojłokowe. Po kilku minutach ściągnęli kilkanaście dużych płacht i odsłonili środek nawy.

W kaplicy panował półmrok. Przez szyby sączyło się słabe światło wczesnego poranka. A i dzień był pochmurny i dżdżysty, typowy dzień nadmorskiego przedwiośnia.

Zaczęliśmy patrzeć. W miarę patrzenia kontury przedmiotów nabierały ostrości. Jakieś pomięte palta i marynarki, spodnie i suknie kobiece, dziecinne buciki, kołdry, firanki i bielizna pościelowa.

— Cóż to za graciarnia?! — zawołałem.

Zauważyłem, że jeden z żołnierzy popatrzył na mnie, a następnie pokazał palcem przed siebie. Spojrzałem uważnie. Aha. Wśród tych łachów coś jakby głowy, twarze... Zauważyłem rozrzucone blond włosy i twarz żółtą, jakby z wosku. Obok inne, podobne.

Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się, że to manekiny, takie jakie widuje się w witrynach zakładów fryzjerskich. Nic mi się więcej nie kojarzyło. Czułem tylko, jak pragnienie snu miesza mi obrazy, a myśli osadza na mieliznie.

— Manekiny — mruknąłem dość głośno.

Żołnierze w dalszym ciągu energicznie ściągali dalsze wojłoki. Wyciągnęli i ten spod moich nóg. Stałem na środku nawy, na stosach tego szmacianego *barachła*.

Przyglądałem się coraz intensywniej. Obok tych na początku zauważonych zaczęły się wyłaniać inne głowy, męskie, kobiece, dziecięce, siwe, czarne, jedna nawet ruda, jasne jak len.

— Man kiny, skąd tu tyle manekinów — pomyślałem niezbyt przytomnie. Nagle poczułem w mózgu przypływ. Myśli ożywiły się, spłynęły z mielizny i zaczęły tworzyć obrazy i zestawienia.

— A, a, a, zaraz, zaraz — zacząłem potrząsać głową. Przecież, przecież... to... trupy. Trupy kobiet, mężczyzn i dzieci. Sami cywile. Ani jednego żołnierza. Depcząc po zwłokach podszedł do mnie kapral Gostkowski. Mózg mój już funkcjonował dość sprawnie.

— Niezły magazyn konserw znaleźliście — powiedziałem.

— Ano, widocznie szwaby tak, jedno obok drugiego... — mruknął i podrapał się palcem po brodzie.

(Dokończenie na str. 11)

SILNA WOLA

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

OGNISKO dopalało się zwolna. Czasem tylko płomień wystrzelił mocniej, gdy ktoś dorzucił suchą gałązkę.

— Teraz na ciebie kolej, Skoczylas. Zaczynaj. No prędzej!

Skoczylas w milczeniu wpatrywał się w rozżarzone węgle. Po chwili dopiero zaczął.

— Jak wiecie, koledzy, byłem uczniem profesora Tutki. Szczycę się tym, że uczniem nie najgorszym, a w każdym razie pilnym. Mimo to zdarzało mi się nie uważać na jego wykładach, a raz nawet, ze wstydem wyznam — zdrzemnąłem się... Otóż profesor Tutka właśnie nauczył mnie rzeczy bardzo ważnej... ale nie, zrozumiecie to sami... Kiedyś profesor miał wykład na temat silnej woli. Ci z was, którzy bywali na jego wykładach, wiedzą, że był to konik profesora. Pan profesor wykładał wspaniale, porywająco. Byliśmy wszyscy zafascynowani. Wieczorem, po powrocie do domu (mieszkałem wówczas sam) długo jeszcze rozmyślałem o wykładzie, przyrządzając sobie kolację i przygotowując do snu. Toteż nic dziwnego, że nie mogłem zasnąć. Leżałem w ciemnym pokoju i wpatrywałem się w przedpokój, gdzie było odrobinę widniej. W pewnej chwili uwagę moją zwrócił pewien szczegół na wieszaku. Oto mój płaszcz, kapelusz i szalik w mroku łudząco przypominały postać ludzką. Przyszło mi na myśl, żeby wypróbować swoją wolę i zmusić te przedmioty do poruszenia się. Znacie mnie dobrze i wiecie, że nie należę do ludzi bezwolnych, o słabym charakterze. Najlepszy dowód zresztą, że wybraliście mnie na prowodyra tego spływu. Zebrałem wszystkie siły. Mój umysł skoncentrował się tylko na jednym zdaniu: „Porusz się". Z wysiłku bolało mnie całe ciało, szczególnie mięśnie szczęk. Pot zalewał mi przymrużone z wysiłku oczy. Nie wiem jak długo mógł trwać taki stan. W pewnej chwili, gdy byłem już u kresu wytrzymałości... tak! Stało się. Płaszcz z narzuconym szalem, przykryty kapeluszem, wyraźnie poruszyły się. Nie chciało mi się wierzyć, myślałem, że to tylko działa moja wyobraźnia. W ostatnim porywie zebrałem resztki sił, byłem naprężony jak stalowa lina grożąca w każdej chwili zerwaniem. Prosiłem, błagałem niemal te przedmioty... „jeszcze... jeszcze kawałek". Brakowało mi powietrza, dusiłem się, ale moja odzież wolno sunęła po przedpokoju.

Obudził mnie chłód poranka. Było już widno. Wstałem bardzo otępiały i w pierwszej chwili niczego nie zauważyłem. Dopiero idąc do łazienki spostrzegłem brak mego płaszcza, kapelusza i szalika. W sąsiednim pokoju okno było otwarte na oścież, a obok, na komodzie brakowało starego, cennego zegara. Potem po dalszych obserwacjach dostrzegłem brak kilku jeszcze wartościowych przedmiotów.

Na chwilę zapanowała wesołość.

Skoczylas zamyślił się.

— To wszystko nie jest takie oczywiste. Co prawda nie można tu mówić o działaniu woli na materię nieożywioną, bo moje odzienie miało wręcz żywy ładunek, ale kto wie, w jakim stopniu właśnie ja tego złodzieja nie zmusiłem do poruszenia się?

Ostatnie węgielki w ognisku jarzyły się jeszcze czerwonym blaskiem.

ŻYCIE DOSTAWCĄ MATERIAŁU

KONRAD BIELSKI

NIE od razu przystąpiliśmy do pisania drugiej szopki. Upłynęło sporo czasu. Prawie rok. Ciągle się mówiło o tym, ale od mówienia do zrobienia — daleko. Co prawda to czas pracował dla nas. Stosunki polityczne ciągle się zmieniały, poszerzał się krąg ważnych zdarzeń, a tym samym materiał, z którego mieliśmy korzystać. Światek lubelski był niewielki, gdyby szopki następowały zbyt szybko po sobie, musielibyśmy z konieczności się powtarzać. Ta przerwa roczna dała nam dużo. W Lublinie wiele się zmieniło. Przybyli nowi ludzie. Sanacja okrzepła i jednocześnie pokazała już nieco swojego oblicza. Nastąpił rozłam w PPS-sie, wielu z ich szeregów przeszło do sanacji. Łączenie się w opozycji prawicowych i lewicowych działaczy, umizgi endecji i umizgi do endecji — wszystko to stanowiło bogaty materiał do satyrycznego opracowania.

Dlatego też skoro Arnsztajn przypomniał o naszych zobowiązaniach podjętych po premierze pierwszej szopki, uznałem, że trzeba po trochu zabrać się do pracy.

Zmniejszyła się tylko liczba autorów. Właściwie zostaliśmy we dwóch — i tak już było w trakcie pisania tej szopki i następnej. Korzystaliśmy natomiast z porad i pomysłów licznych przyjaciół, którzy nas podczas pracy dość często odwiedzali i wnosili dużo humoru oraz inwencji. Szczególniej cenne były aktualne anegdotki i ploteczki z lubelskiej areny politycznej.

Zaczęło się wszystko normalnym trybem, lecz po pewnym czasie zmieniliśmy zasadniczo metody pracy. Na pierwszych posiedzeniach ustaliliśmy listę osób, które miały wystąpić w szopce. Lista ta była dość długa. Trzeba było powtórnie umieścić poniektórych, nadal czynnych i popularnych w Lublinie, a w sposób niedostateczny przedstawionych i ośmieszonych w pierwszej szopce. Poza tym niektórzy ludzie wysunęli się na czoło — no i sporo nowych przybyło. Te „dramatis personae" zostały następnie podzielone na dwie grupy i rozlosowaliśmy je między sobą. Każdy więc miał swoich przydzielonych i musiał o nich napisać piosenki.

Jakoś nam to jednak nie wychodziło. Upłynęło już sporo czasu, a robota się nie posuwała tak szybko, jak byśmy tego chcieli. Napisaliśmy dosłownie po dwie piosenki, dowcipne i złośliwe, lecz dalej ani rusz. Czas upływał, termin zaplanowanej premiery przeraźliwie się zbliżał, a myśmy nie mogli wyrwać się z tego impasu. Wreszcie uradziliśmy pisać wspólnie każdy tekst. Pomysł okazał się dobry i dał znakomite rezultaty. W ten sposób dokończyliśmy drugą szopkę i napisaliśmy całą trzecią.

Nigdy przed tym nie wyobrażałem sobie, że można kolektywnie coś napisać, a już specjalnie jeśli chodzi o wiersze. Piosenki i teksty satyryczne musiały mieć przecież formę mowy wiązanej. Dobór słów, pointa, metafora — zdawały mi się zawsze rzeczą na wskroś osobistą, którą trudno dzielić się z kimś, którą trudno od kogoś czerpać.

Jednak wszystkie te moje wątpliwości i obawy okazały się w praktyce niesłuszne. Doszliśmy z Arnsztajnem do całkowitego zgrania. Podobnie do dobrego zespołu kameralnego, który brzmi jak jeden instrument, tak i nasze teksty nie były sztucznym zlepkiem, lecz stanowiły jedną zwartą całość. Dziś gdy po latach czytam lub przypominam sobie te twory, nie mogę rozpoznać, które dowcipy, rymy lub pointy są moje, a które Arnsztajna. Zlało się to wszystko idealnie.

Później już przeczytałem, że Boy-Żeleński z Witoldem Noskowskim tak samo pisali swoje szopki „Zielonego Balonika".

Nasza współpraca trwała długo i napotykała na wiele przeszkód. Zarówno ja, jak i Arnsztajn w owym czasie mieliśmy mnóstwo zajęć zawodowych, pozostawały wolne tylko późne wieczory. Arnsztajnowi szpital, kasa chorych, prywatne wizyty — wypełniały cały dzień; wieczorem przyjmował pacjentów u siebie w domu, a miał ich bardzo wielu. Godziny przyjęć przeciągały się zazwyczaj do godziny dziewiątej wieczór. Potem kolacja, krótki odpoczynek i ja przychodziłem. Też po ciężkiej harówce; byłem już aplikantem adwokackim i jednocześnie nauczycielem w szkole średniej. Pracą był wypełniony caluteńki dzień. Ale jak to mówiła modna podówczas piosenka: „naszą jest noc". I tę noc trzeba było wyzyskać.

Najpierw więc wjeżdżała na stół ogromna maszynka czarnej kawy. I to jakiej kawy! Mocnej jak piekło — aby pokonać zmęczenie, rozjaśnić umysł i dodać wigoru. I rzeczywiście po paru filiżankach zabieraliśmy się ochoczo do pracy. Gadaliśmy, dowcipkowali, opowiadaliśmy sobie kawały — było wesoło. I tak w tej atmosferze rodziły się piosenki naszej szopki.

Niektóre pomysły przynosiliśmy na zebranie już gotowe; wymagały jednak obróbki, trzeba było je oszlifować i zmieścić w wybranej formie muzycznej, nazywało się to „tekst podłożyć pod melodię". W pokoju stał fortepian, na którym można było sobie przegrać potrzebne kawałki i posłuchać, jak to brzmi i czy trafiliśmy w ton. Ot na przykład: na warsztacie był adwokat Edward Rettinger, postać nieprzeciętna, wybitny obrońca, pełen temperamentu polityk i zachłanny konsument wszelkich uciech życia. Anegdotek o nim krążyło mnóstwo, opiewały różne jego słabostki i śmieszne strony. Można więc było go ująć w najrozmaitszy sposób. Ale nam chodziło o to, by ta szopka była naprawdę szopką polityczną, toteż za punkt wyjścia wybraliśmy znaną wówczas w mieście historię, jak Rettinger, który przeszedł z listy endeckiej, starał się bezskutecznie przez długi czas zorganizować większość w świeżo wybranej radzie miejskiej.

Jako formę wybraliśmy piosenkę z repertuaru Ordonówny o siedmiu braciach, biednych Żydach, którzy po kolei umierali. Melodia była zawodząca, ale bardzo sugestywna, no i wtedy powszechnie znana. Wypadło to tak:

Formowałem większość w Radzie,
trwało to miesięcy siedem,
grupowałem, namawiałem,
aż zostałem jeden — oj,
ten chce być prezesem,
tamten też by wlazł
od stolika do ławnika,
jeszcze jeden raz.
Najpierw chciałem wyrzucić Żydów
i tak myślę sobie:
sanacyjną i endecką
Radę Miejską zrobię — oj,
Majewski pierwsze skrzypce,
a Biernacki bas,
od endecji do sanacji
jeszcze jeden raz.
Ale na nic konkubinat,
z mąki tej nie będzie chleba
niech się trochę zarumieni —
Drożdża dodać trzeba — oj,
Choma mnie całował,
Świątek z rączką lazł,
i od Bryły znów do Chyły
jeszcze jeden raz.
Już śpiewałem „na barykady",
lecz to się na nic nie przyda,
bo bez Żydów nie będzie Rady,
jak bida to do Żyda — oj,
Zylber krzyknął: brawo,
nadszedł dla nas czas
od socjała do kahała
jeszcze jeden raz...

I tak dalej. Oczywiście Drożdż, Choma, Chyła, Świątek — to radni z PPS-u, a Majewski, Bryła — endecy. Piosenka ta miała w szopce olbrzymie powodzenie (kukła Rettingera była też wyśmienita). Każda strofka przynosiła wybuchy śmiechu i oklaski. Dziś te słowa brzmią martwo i dzisiejszemu czytelnikowi nic nie mówią. Taki to los satyryków polujących na aktualność.

Dla przykładu podam jeszcze historię innej piosenki. Feliks Moskalewski. Brat pierwszego w Lublinie wojewody, bardzo popularny jako stały bywalec klubów i restauracji, a poza tym wódz Sokoła. Chodził w takim kolorowym sokolim mundurze i nosił czapkę z piórkiem. Strój ten nawet wówczas wydawał się groteskowy i budził pewną sensację. Zrobiliśmy go na melodię „jeszcze jeden mazur dzisiaj"

Jeszczem jeden sokół dzisiaj,
mała za mną świta,
każdy inny Włoskowicza
zezwolenia pyta
pyta, prosi nie bez racji,
boć to w polskiej ziemi —
Hatys, Kryński już w sanacji,
a sto par za nimi.
Nie ma z kim pójść na jednego,
by rozproszyć troski,
jeden tylko przy bufecie
pęta się Dzwonkowski,
choć nie prosi, lecz naleje,
jeden uścisk bratni,
wspominamy stare dzieje,
sokół to ostatni.
Jeszcze przyjdzie nasza era,
weźmiem za pałasze,
porwę Maja, Rettingera,
Kuczewskim się opaszę.
Hej Sokoły, na bok smutki,
naprzód, daj go katu,
krzyknę: czołem, cztery wódki
i cztery bez atu.

Włoskowicz to był szef bezpieczeństwa, wszechwładny wówczas dygnitarz sanacyjny, pozostałe osoby to przyjaciele Moskalewskiego.

Tak powstawała piosenka po piosence. Najgorsze było to, że po północy, gdy już kończyliśmy pisanie, wypita kawa jeszcze działała. Ożywienie, podniecenie i żadnej ochoty do spania. Wtedy Janek proponował, że mnie odprowadzi, i przy okazji przespaceruje się trochę przed snem. I tak odprowadzaliśmy się wzajemnie od knajpy do knajpy. Często już przy dziennym świetle wychodziliśmy z Frascatti.

Był wtedy w Lublinie taki nocny kabaret na ulicy Szpitalnej, tam gdzie dziś się mieści dom pocztowca. Wtedy stał tam budynek drewniany, dość obszerny, właściwie w centrum miasta, a trochę na uboczu. Różne już miał przeznaczenia. W roku 1926 wydzierżawili go bracia Koziccy i po dokonaniu licznych remontów i adaptacji urządzili tam kabaret.

Lokal był elegancki i dobrze urządzony. Duża sala — widownia, coctailbar, na wysokości piętra dookoła loże, zasłonięte ciężkimi portierami, tak, że siedzący w nich widzieli wszystko, sami natomiast nie będąc widziani. No i scena, na której odbywały się występy. Poziom artystyczny tych występów nie był wprawdzie olśniewający, ale za to olśniewające były wykonawczynie, dobierane przez dyrekcję z wielkim znawstwem. Na dodatek bardzo dobra orkiestra. Co dwa tygodnie program zmieniał się całkowicie, bywalców więc obowiązywała zasada: „carpe diem". Gościnne podwoje otwierały się o północy, lokal czynny był do rana. Chodziło się tam oczywiście już po kolacji na program, na wino, a właściwie na kawę i koniak.

Przy tej okazji muszę opowiedzieć historię otwarcia tego lokalu. Na tę fetę zaproszono co najznamienitszych gości, samych panów. Stoły uginały się od przeróżnych potraw i napojów, a zza opuszczonej jeszcze kurtyny dobiegały drażniące szepty i śmiechy przygotowujących się do występów aktorek. Uroczystości poświęcenia miał dokonać znany w Lublinie smakosz i koneser, ksiądz kanonik W. Gdy już wszyscy się zebrali, stary wyga zorientował się, że z tym poświęceniem to nieco przesolili i że sam trochę wpadł, ale nie stracił dobrej miny, pokropił ściany i takie wygłosił przemówienie: „Cieszę się, że powstała oto nowa placówka polska wśród powodzi podobnych placówek żydowskich. Widzę zastawione stoły, więc życzę wszystkim dobrego apetytu".

I poszedł. Długo jeszcze potem przy winie zastanawialiśmy się, jakie to placówki żydowskie, według słów kanonika, ma nam zastąpić Frascatti.

JEDNAK pomimo wszystko praca przy szopce posuwała się stale naprzód i stopniowo zaczęła nas coraz bardziej pochłaniać. O ile na początku nasze sjesty twórcze były dość rzadkie, to w miarę upływu czasu zaczęliśmy się spotykać prawie codziennie, chyba że wieczór był zajęty, co się też czasem zdarzało. Ilość piosenek się powiększała i zarówno sami autorzy, jak i często nas odwiedzający goście orzekli, że były to rzeczy udane. Arnsztajn był bardzo muzykalny i miał mnóstwo pomysłów, ja zaś dbałem o czystość tekstu pod względem artystycznym i językowym. Właściwie całość szopki była już prawie gotowa, jeśli chodzi o stronę literacką i wokalną, pozostała sprawa nie mniejszej wagi — strona wizualna i plastyczna.

I tu ogarnęło nas przerażenie. Na placu był tylko jeden wykonawca — Kurzątkowski, twórca kukiełek pierwszej szopki. A kukiełki tamte dalekie były od ideału, przede wszystkim zupełnie niepodobne do swych modeli. Zmartwienie nasze było tym większe, że zdawaliśmy sobie sprawę, iż ta szopka wielokrotnie przewyższa poprzednie i jeżeli nie uzyska dobrej oprawy, to szkoda naszego trudu, bo powodzenia należnego nie uzyskamy. Zarówno my, jak i nasi przyjaciele, wysilaliśmy całą pomysłowość, by znaleźć jakieś dobre wyjście.

Pomysł przyszedł nagle i nieoczekiwanie. Popijaliśmy właśnie po jakiejś teatralnej premierze w „Europie" i oczywiście biadaliśmy nad marnym losem szopki, gdy ktoś z obecnych zaproponował, aby się zwrócić po starej znajomości do Władysława Daszewskiego, twórcy fenomenalnych kukiełek warszawskich szopek, aby nam coś poradził i polecił któregoś ze swych uczni. Było to oczywiście jajko Kolumba; wszyscy z aplauzem zaaprobowali ten projekt, dziwiąc się, żeśmy dotychczas o tym nie pomyśleli. Postanowiono, że pojechać trzeba natychmiast. O czwartej rano odchodził pociąg pospieszny do Warszawy, mieliśmy jeszcze godzinę czasu. Misją tą obdarzono mnie, gdyż z Daszewskim żyłem od dawna w przyjaźni. Natychmiast wszyscy obecni zrobili składkę, wyciągając z kieszeni posiadane w danej chwili pieniądze; wręczyli mi tak zebraną kwotę, wsadzili do dorożki, odwieźli na stację, umieścili w wagonie i czekali odejścia pociągu, bym się przypadkiem nie rozmyślił.

Przyjechałem do Warszawy o godzinie siódmej rano, zmęczony, brudny i niewyspany. Po dokonaniu na dworcu koniecznych zabiegów toaletowych, poleciałem zaraz do Daszewskiego, by go złapać, zanim wyjdzie na miasto. Mieszkał wtedy na którejś z przecznic Marszałkowskiej w pokoju, który odnajmował od słynnego podróżnika Antoniego Ossendowskiego. Zastałem go w domu. Zdziwił się tak ranną wizytą, lecz wysłuchał moich propozycji z wyraźnym zainteresowaniem. Zaznaczam, że za zrobienie lalek do szopki upoważniony byłem zaofiarować sumę tysiąca złotych. Kwotę tę na razie wykładał Arnsztajn, a później zwracało się z dochodów szopki.

Daszewski po krótkim namyśle orzekł, że nie ma mowy o żadnych uczniach, sam osobiście przyjedzie i zrobi nam kukiełki, gdyż jest człowiekiem przekupnym, a ponadto dawno już nie pił wódki w Lublinie i chciałby spróbować, jak smakuje. Radość moja była wielka; zaraz ustaliliśmy datę przyjazdu i co należy przygotować na ten dzień, po czym niezwłocznie udaliśmy się do „Simona i Steckiego" na dalsze pertraktacje.

Do Lublina wróciłem jako triumfator. Od razu z dworca, mimo wczesnej rannej godziny, pojechałem do Arnsztajnów, by zakomunikować o naszym sukcesie. Zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę, że udział Daszewskiego w naszej imprezie zapewnia jej powodzenie. Nazwisko jego jako karykaturzysty było już podówczas bardzo popularne i stanowiło niemałą atrakcję. Nabraliśmy więc pewności, że nasze piosenki w wykonaniu świetnych lalek zdobędą Lublin.

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

Spotkania rzeczywiste

krótkie są chwile wyśnione
nie starczą na zatrzymanie
czasu rzeczywistego
przedłużone
nie sięgną gwiazd
przytulone do ciepłej piersi
wyciągają ryjki
by skubać noc

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

*
* *

W sierpniu przychodzisz
z jabłkiem w kieszeni
zakochany we fiolecie
wrzosowych gałązek

Czasem siadamy
w cieniu zmęczonego dnia
i siatką na motyle
łowimy świerszczowe grania.

O pewnej wizycie u Karola Szymanowskiego

(Dokończenie ze str. 3)

Karol skwapliwie z szafy. Po kwadransie, powietrze w pokoju posiwiało od dymu czterech palących bez przerwy mężczyzn. Czułem w ustach cierpki smak koniaku, zmieszany z gorzkim osadem nikotyny. W głowie mi szumiało. Po wczorajszym tlenie, jak kryształ, na graniach, płuca nie miały czym oddychać.

Przeprosiwszy więc towarzystwo, ogarnięte świetnym humorem, przeniosłem się do sąsiedniego pokoju i wyciągnąłem na leżaku przed otwartym oknem.

Nad Giewont zaczął się wtłaczać wał obłoków, sygnalizujący zawsze południową wichurę, równocześnie w dolinę zakopiańską spadł pierwszy potężny oddech halnego. Jaka ulga w całym organizmie. Jakby zdjęto zeń lepki, duszący pokrowiec. Odetchnąłem swobodnie i w chwilę później, przy akompaniamencie ożywionych głosów rozgadanej trójki, zasnąłem nareszcie snem tak twardym, że nie słyszałem odejścia naszych gości.

Zbudził mnie Karol, wyborający się do Trzaski na obiad. Elegancki, jak zawsze, wyświężony, pachnący znakomitą wodą kolońską, przysiadł przede mną na parapecie okna, z nieodłącznym papierosem w ręku.

Dowiedziałem się od niego o „wściekłej" dyskusji, jaką stoczyli między sobą Chwistek i Witkacy na temat... „Wniebowstąpienia". Odegrał w niej jakoby rolę arbitra, do pewnego stopnia.

Witkiewicz, po zacytowaniu z pamięci szeregu zdań (co było według Szymanowskiego dowodem, że zabiłem nimi Stasiowi ćwieka), podkreślając „piekielne wartości formalne tej prozy", stawiał zarzut „antyintelektualizmu".

W odpowiedzi na to Chwistek, wertując zeszyty „Skamandra", przytoczył z kolei pewne fragmenty, które jego zdaniem dowodziły niezbicie, że „Wniebowstąpienie" jest au fond... *utworem „filozoficznym"*.

A tymczasem ja, zamiast siedzieć tam na cenzurowanym, spałem sobie tu spokojnie na leżaku. Chwała Bogu.

W dalszej relacji Karola usłyszałem jego wypowiedź o tym sporze. Miał im powtórzyć to, co pisał na mój temat *) Iwaszkiewiczowi ubiegłego roku w marcu z Nowego Jorku, następnie zaznaczywszy, iż w dalszym ciągu z trudem akceptuje ten genre poetycki, zwrócił im uwagę na jaskrawą antynomię ich sądów o moim utworze, dowodzącą w danym wypadku — racji autora.

Trzeba przyznać Szymanowskiemu lojalność i obiektywizm w tej sprawie.

„Szelma Staś wytknął mi przy okazji atonalność mojej muzyki" — dodał Karol na zakończenie.

Witkacy dołożył jeszcze podobno pretensję (dość dziwną), że wystrzeliłem tę petardę i nic mnie więcej nie obchodzi, na co Chwistek miał mu (słusznie) — odpowiedzieć: „Taka jest na dobrą sprawę — rola artysty".

W tejże „Limbie" wysłuchałem kiedyś relacji Szymanowskiego o pewnym dramacie związanym z osobą Witkacego. Przyjaźń ich przechodziła różne koleje. Znali się już w 1911 r. Dwie wybitne indywidualności spotkały się na wspólnej platformie zainteresowań artystyczno-kulturalnych. Żywiołowe ich temperamenty doprowadziły jednak w pewnym momencie tę przyjaźń, tętniącą mocnym pulsem, do kryzysu prawie katastrofalnego. Rzuciło to na późniejsze stosunki smugę cienia, którego nic już nie zdołało całkowicie rozjaśnić.

Karol, będący typem południowca, elegancki, wytworny, pełen wdzięku młodzieńczego, wzbudzał wszędzie żywe zainteresowanie. Witkacy był zaręczony. Przy swoim diaboliczno-eksperymentatorskim traktowaniu spraw seksualnych, co należało zresztą do stylu młodopolskiego, stwarzał w obcowaniu z narzeczoną ciężkie nastroje. Równocześnie zasugerował sobie, że Szymanowski interesuje się nią więcej, niż pozwalały na to względy towarzysko-przyjacielskie.

W rozmowach ze mną wracał kilkakrotnie do tego tragicznego zajścia, stawiając sprawę zupełnie wyraźnie. Zarzucał Karolowi sprowokowanie dramatu, którym skończyło się jego narzeczeństwo. Przyjaźniąc się z nimi wyczuwałem od początku (pomimo ogromnej sympatii, jaką miałem do Stasia), iż Karol był w tym okresie bardziej bezpośredni w swych zwierzeniach. Toteż trafiało mi do przekonania raczej jego oświetlenie sprawy.

Opisując przebieg wydarzeń tego fatalnego dnia, poinformowany zresztą o zwierzeniach Witkacego, zapewniał mnie gorąco o bezpodstawności zarzutów Stasia. Niektóre szczegóły rzucają na to wszystko ciekawe światło. Są one charakterystyczne dla witkacowskich metod postępowania, przy jego męskich walorach, którymi hypnotyzował swe adoratorki.

Owego dnia Szymanowski oraz narzeczeni znajdowali się w gronie innych jeszcze osób, w willi Witkiewiczów na Antałówce. Od pierwszej chwili wyczuł Karol między nimi dramatyczny nastrój. W pewnym momencie Staś podszedł do narzeczonej i ściszonym głosem zaczął nalegać, aby wyszła razem z nim z pokoju. Gdy po pewnym czasie wrócili, odniósł Szymanowski wrażenie, że ich nieobecność miała na celu wypróbowanie jej uczucia, w typowych dla Witkacego demonicznych spięciach psychologiczno-seksualnych.

Finał wewnętrznego konfliktu młodej pary nastąpił niezwykle szybko: późnym wieczorem, czy też w nocy, narzeczona Witkiewicza odebrała sobie życie. Działo się to w styczniu 1914 roku.

W Zakopanem zagotowało się.

Między dwoma przyjaciółmi zapanowała lodowata atmosfera. Karol wyjechał wkrótce z Zakopanego i dopiero w 1922 roku nastąpiło ponowne jego zbliżenie z Witkacym.

Jerzy Mieczysław Rytard

*) *Patrz: K. Szymanowski „Z listów", str. 209 (Pol. Wyd. Muzyczne).*

NIEBOSKI JULIUSZ

DOPIERO teraz przeczytałem ostatnią książkę Jacka Bocheńskiego. Nie znając jej wcześniej nie mogłem się dołączyć do tych, co głosowali na nią w plebiscycie „Polityki", przyznającym jej pierwsze miejsce w naszym dorobku literackim za rok ubiegły.

Nie jestem specjalnym znawcą historii i kultury starożytnej. Będę więc o „Juliuszu" pisał jako zwykły odbiorca tego eseju, jako czytelnik, którego ta książka (mimo „Idów marcowych") urzekła i jako ten, który autora jej zna od dzieciństwa, co zresztą w niczym nie wpływa na takie czy inne ustosunkowanie się do niej.

Tak, rację ma „antykwariusz" pisząc, że „De bello gallico" przestudiował „mając lat czternaście", a obecnie tylko „wznowił studia". Wychowany przez ojca, poetę Tadeusza Bocheńskiego, w zamiłowaniu do klasyki i języków starożytnych, poznał je doskonale, mogąc nawet rozmawiać i pisać listy nie tylko po łacinie, ale mniej wprawnie i po grecku. Pamiętam zabawny epizod z przeszłości. Było to podczas okupacji, gdzieś w r. 1944, kiedy to siedemnastoletni chłopiec, już wtedy piszący wiersze, ukrywał się (przed wzięciem go na roboty do Niemiec) u matki swojej w Chełmie. Odwiedził mnie kiedyś. Wiedząc o jego znajomości łaciny, a nie podejrzewając, że opanował ją tak świetnie, otworzyłem te właśnie pamiętniki Cezara na pierwszej lepszej ze środkowych stronic i zaproponowałem mu, aby je przetłumaczył. Uśmiechnął się tylko i od razu bez zająknienia nie „słowo w słowo", jak to czynią uczniowie, ale najpoprawniejszą polszczyzną przełożył mi ten tekst. A później, jak opowiadał mi ojciec, żartował sobie ze mnie: „Taka łatwizna, a on myślał, że nie dam sobie rady!". W rok później po wyzwoleniu Chełma wzięliśmy razem udział w wieczorze autorskim. I tak spotkały się na nim dwa pokolenia...

Ale do rzeczy, wracajmy do „Juliusza"! Nie ma racji Maciąg w „Twórczości" twierdząc, że Bocheński nie ujawnił nam „tajemnicy boskości" Cezara. Przecież tę „boskość", począwszy od samego przymiotnika w tytule, poprzez pierwsze słowa eseju: „Czy ktoś z państwa chciałby zostać bogiem? Jest to osiągalne" aż do przytoczenia (ze zmrużeniem oka) relacji Swetoniusza, że „podczas uroczystości, które zaraz po konsekracji

(Dokończenie na str. 10)

PIEWCA NUTY CZŁOWIECZEJ

(Dokończenie ze str. 4)

pod pseudonimami: „J.H.C." lub Henryk Zasławski — trzeba będzie przyznać, że dorobek poety, który objął zaledwie 17 lat twórczości jest naprawdę bogaty.

Koleje życia poety musiały się ułożyć w sposób jak najbardziej typowy dla talentów, które rodzą się na prowincji. Od posady w Słobódce prowadzi droga do Lublina, a stąd — rzecz jasna — kierunek jest tylko jeden — Warszawa. Mimo przeniesienia się do stolicy Czechowicz pozostał jednak wierny swemu miastu, czemu dał wyraz we wstępie do „Antologii współczesnych poetów lubelskich" wydanej w 1939 roku, gdzie czytamy te oto słowa:

„...tu *jest mój dom poetycki, więcej tu jest nasz dom poetycki. Z ulic i zaułków Lublina, rodzinnego miasta nas wszystkich, albo też przynajmniej miasta najbliższego sercu naszemu wysłuchaliśmy nieuchwytnych dla obcego powiewów i przeobrażamy je w słowa i wiersze siłą ożywiającą. (...) Miasto rodzinne, ilekroć mi ciężko lub najciężej, do ciebie zwracam się pamięcią, a gdy pamięć twarde przeżycia przypomina — to sercem, to wyobraźnią. Miasto na skłonie pagórka rozłożone, dzwoniące kościołami dzieciństwa, poddające mury odwiecznej budowli słońcu, które tam tyle razy wschodziło to samo, co i gdzie indziej, lecz inne! Ujmując świat w poetyckie kreacje błądzimy wśród półsłów i półczuć, wikłamy się w to, co niewypowiedziane i tylko jakieś cienie, jakieś lubelskie zamglone sylwety pomagają uprościć wszystko, sprowadzić znów do ludzkiego, prawdziwego człowieczeństwa, odwrócić klęski sławy, która brzydnie, serca, które pustoszeje. (...) Wsparci o wspomnienie uliczek, fragmenty murów ocienionych starymi drzewami, nawet o linię cienia, kładącego się w przezłoconym powietrzu tamtejszego lata gdzieś na Jezuickiej czy Złotej ulicy, otwieramy dłonie ku światu i znajdujemy w nich przygarście pociechy..."*

Dzięki temu właśnie przywiązaniu do ziemi rodzinnej — podobnie jak Or Ot Warszawę czy Tuwim Łódź — Czechowicz miał na trwałe zapisać nazwę Lublina w literaturze, dedykując mu wiele utworów.

Do Warszawy Czechowicz wyjechał już jako znany poeta, by tam — zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami krytyków i pisarzy — objąć „rząd dusz" i skupić wokół siebie nową awangardę poetycką, w której znaleźli się m. in.: Stanisław Piętak, Bronisław Michalski, Wacław Mrozowski, Czesław Miłosz, Jerzy Zagórski, Czesław Janczarski i inni. Czechowicz zamieszkał w Warszawie w gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ulicy Smulikowskiego 4 a, od roku 1933 brał czynny udział w życiu literackim Warszawy. Już od dawna poeta współpracował z „Kwadrygą" i „Drogą", by później nawiązać żywy kontakt z „Zetem", a wreszcie objął redakcję „Płomyczka", „Literatury i Sztuki", a następnie „Pionu" i „Pióra". Jego mieszkanie stało się punktem zbornym dla wielu poetów młodego pokolenia, którzy szukali u mistrza porady, poparcia, a nawet pieniędzy. „Obiady czwartkowe" Czechowicza i jego mecenat literacki są rzeczą bezsporną i dlatego nie może dziwić fakt, że sam poeta w liście do Stanisława Czernika z 18 III 1934 r. pisze o swoim „dowództwie" jako o rzeczy zupełnie naturalnej:

„Montuję teraz pismo literackie, miesięcznik typu „Drogi", tylko ściśle literacki. Poganiam lubelski Związek, tresuję wileńczyków, do Krakowa sięgam. Przyboś chętnie się podporządkował, Czuchnowski również, Piętaka po prostu sprowadziłem do Warszawy. Rozruszam ich — nie ma obawy".

W czasach, kiedy powstawały liczne koterie literackie namiętnie zwalczające się i przekrzykujące wzajemnie — grupa kierowana przez Czechowicza nie wykazywała tych niezdrowych aspiracji. Ba, poeci nie uważali się nawet za jakąś odrębną grupę literacką, zaś miejsce zazdrości i zawiści zajmowała przyjaźń. A i sam Czechowicz nie pozował na wybitnego teoretyka, nie silił się na programy, nie wynosił ponad przyjaciół. Był to — pisze Jan Śpiewak — „po prostu ktoś, kogo się szanowało, do kogo bez ceregieli można było przyjść, pogawędzić, pożartować, pomówić o poezji, przeczytać w przyjaznej atmosferze swoje utwory".

Czechowiczowi nie wystarczała własna twórczość, dlatego też musiał otaczać się innymi pisarzami. Jedyny bowiem klimat, w którym czuł się dobrze, stanowiła poezja. Nie starał się szukać w utworach przyjaciół przysłowiowej „dziury w całym", wprost przeciwnie podnosił każdą, nawet dosyć problematyczną wartość, zachęcał do dalszej twórczości, a jeśli już musiał coś zakwestionować, czynił to w sposób kulturalny i delikatny. Nic dziwnego — był przecież nie tylko poetą, ale i pedagogiem. Wiedział dobrze, że nie samą poezją człowiek żyje, nie miał cienia wątpliwości co do tego, że aby powstawały dobre wiersze trzeba zabezpieczyć ich twórcy choćby najskromniejsze warunki egzystencji, co przecież w Polsce przedwrześniowej nie należało do rzeczy łatwych. Stąd też troska autora „nuty człowieczej" o jak najbardziej przyziemne, codzienne sprawy przyjaciół, o czym tak pisze Wacław Mrozowski:

„Interesował się tym, co będziemy jeść na śniadanie, często zapraszał na obiady do restauracji, wieczorem od kina czy teatru. Był w tym wszystkim żenująco prosty, dziecinny niemal, a cienki, śpiewający głos nadawał mu jakiegoś macierzyńskiego uroku. Nic więc dziwnego, że kochaliśmy go bardzo. Był idealnym przyjacielem, pięknym człowiekiem, bezkompromisowym w sprawach sztuki" *).

Biorąc pod uwagę stosunek Czechowicza do młodych poetów i jego własną twórczość, można było spodziewać się, że potrafi on wywrzeć duży wpływ na współczesną literaturę, że potrafi pozostawić po sobie własną szkołę. Rzeczywistość potwierdziła w pełni te przewidywania — autor „ballady z tamtej strony" znalazł wśród twórców młodego pokolenia liczny zastęp naśladowców.

Dla Czechowicza nie mogło być mowy o jakimkolwiek odwrocie. Był bowiem — jak pisze w liście do K. A. Jaworskiego — „opętany przez wiersze". Z tego „opętania" miała go wyzwolić dopiero śmierć. Przyszła ona niespodziewanie. Gdy wybuchła II wojna światowa Czechowicz we wrześniu 1939 roku opuścił Warszawę wraz z redakcją Polskiego Radia, gdzie pracował jako kierownik literacki, i wyruszył w swą ostatnią wędrówkę do miejsca urodzin i jednocześnie — jak się miało niebawem okazać — śmierci. W dniu 9 września 1939 Lublin został zbombardowany przez samoloty niemieckie. Kilka bomb spadło na dom u zbiegu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Kościuszki. Tu właśnie w zakładzie fryzjerskim znajdował się Józef Czechowicz. Gdy do zakładu wpadła bomba, przyjaciele poety (wśród nich Henryk Domiński), kierowani instynktem upadli pod ścianą i uratowali życie. Inaczej postąpił Czechowicz, który skoczył po prostu na spotkanie śmierci. Z gruzów wyciągnięto tylko strzęp ciała i słownik polsko-niemiecki z napisem: „Własność Józefa Czechowicza".

Prochy jego oddano lubelskiej ziemi, którą tak rozsławił w poezji i dzisiaj już zza grobu dochodzi do nas głos poety który mówi:

kiedyś wzejdzie hesperus nad mym sarkofagiem
i drobnych krople srebra w ciemności nastruże
ty w dłoń zbierzesz blask nikły ciałem
Jak wiatr nagim
rozweselając smętarz choć tylko w marmurze

(„Elegia czwarta")

Roman Rosiak

*) W. Mrozowski: Z perspektywy („Kamena", 1959, nr 9—10).

BEZDROŻA i NADZIEJE

TADEUSZ KŁAK

MAGIA cyfr jest jednak jeszcze potężna. Po to, by „Bibliotekę Poetów Lubelskich" zamknąć w kanonicznej liczbie 10 połączono w jednym wspólnym tomiku dwu poetów, z których każdy zasługiwał na własny, tym bardziej, że rzeczywisty dorobek obu, Stanisława Weremczuka i Józefa Wiesława Zięby, ma profil trochę inny od przedstawionego w „Wierności cieni". Ale stało się.

Obaj poeci dali się poznać jeszcze przed kilku laty publiczności lubelskiej. Lubelski Klub Literacki dodatek do „Kuriera Lubelskiego" — „Teraz", czy wieczory dyskusyjne w klubie „Nora" — to etapy ich twórczej aktywności nie wymieniając już licznych publikacji na łamach „Kameny". „Wierność cieni" nie jest właściwym ich debiutem. Mają oni za sobą publikacje na powielaczu: Stanisław Weremczuk — „Bezdroża", a Józef Wiesław Zięba „Stęskniony krokodyl".

Weremczuk reprezentuje typ poezji, która opiera się na czystym wzruszeniu, liryzmie niemal odruchowym, o bezpośredniej uczuciowości. To jakby przedłużenie we współczesność postawy romantycznej. Tylko, że w jego poezji zamiast buntu jest kontemplacja, żal, gorzka zaduma. Dominuje w niej typowo młodzieńczy jeszcze egotyzm i trochę sztambuchowy typ erotyki naznaczonej lekko sentymentalizmem. Spontanicznej wypowiedzi odpowiada u Weremczuka wiersz czasem bezkształtny, gubiący formalne rygory, rozłamujący zdanie w sposób nie zawsze uzasadniony.

Wiersz „Bezdroża" manifestuje postawę zagubienia dziecka wsi w obcym mieście, tęsknotę za utraconym dzieciństwem. Przełamaniem tej postawy i odnalezieniem własnych możliwości poetyckich są takie wiersze jak „Wesele", „Gorzolicka" czy „Dziewczyna". Są one powrotem do źródeł poezji ludowej, ale nie poprzez stylizację czy imitację, tylko przez stopienie okruchów tamtych wątków i motywów z oszczędną mową współczesnej poezji, oczyszczoną i uproszczoną. Znając archiwum poetyckie Weremczuka mogę świadczyć, że nadal jego poszukiwania idą w tym kierunku i że ta droga stanowi największą szansę poety.

Wiersze Józefa Wiesława Zięby z „Wierności cieni" nie dają podstawy co do formułowania o nich zdecydowanej opinii. Mam wrażenie, że dobór ich krzywdzi autora gdyż nie daje przekroju całego jego dorobku oraz pomija wiersze z lat ostatnich, nacechowane pasją poszukiwania nowych rozwiązań formalnych. Powielaczowy „Stęskniony krokodyl" ujawnia poetę, który godził liryzm z groteską, ale nie umiał wyzwolić się z egzotycznego zdobnictwa, retoryki i zbyt spiętrzonej metafory. W ostatnich utworach Zięba podejmuje ten typ poezji który zapoczątkował Miron Białoszewski. Bez „Obrotów rzeczy" nie byłoby wielu wierszy Zięby, co nie oznacza naśladownictwa, ale raczej poszukiwanie inspiracji. W swoich próbach Zięba poszedł dość daleko w eksperymencie formalnym. Szkoda tylko, że niektóre chwyty stosował on mechanicznie, bez wyraźnej funkcji artystycznej. Te wiersze Zięby były jednak inne, nowe, czasem uproszczone i o zdaniu zredukowanym do maksymalnej elipsy, często odwołujące się do wersyfikacji średniowiecznej, niby nieporadnej, a służącej określonym efektom artystycznym.

Między tymi krańcami znajdują się utwory Zięby z „Wierności cieni". Widzenie świata w kategoriach groteski, widoczne w tomiku poprzednim tu nabiera konturów wyraźniejszych. Przebranie poetów w strój błazna pozwala na dystans wobec świata, na jego osąd śmiechem tragicznego grymasu. Spod zielonej czapki błazna wychyla w niektórych wierszach oblicze człowieka zamyślonego nad ostatecznymi sprawami świata. Mnie to bardziej odpowiada. Dlatego wolę „Traktat o śmierci" od „Dialogu" czy „Kupujcie śledzie", a za najlepszy wiersz Zięby uważam „Refeleksję", która może go skutecznie bronić przed przeciwnikami jego utworów.

Wydaje mi się, że Zięba z „Wierności cieni" jest trochę cieniem samego siebie, co już nie jest jego winą, lecz redaktora tomiku. Wiersze, które tutaj nie weszły, zaświadczają, że mamy do czynienia z poetą bardziej interesującym i więcej obiecującym. *)

*) Stanisław Weremczuk, Józef Wiesław Zięba: Wierność cieni. Wydawnictwo Lubelskie 1961. Biblioteka Poetów Lubelskich T. X.

MARIA JÓZEFACKA

Jaśnienie Agnieszkowe

W stulonym gniazdku dłoni
puszystym gardziołkiem gila
plamką przekorną, naiwną
uśmiech się zimie przycynyła

W jaśnieniu agnieszkowym
przychylnym i przyjaznym
w kornym schyleniu głowy
do wszystkich najdrobniejszych —
jest miejsce na proste sprawy
i na codzienne szczęście

W puszystą, przejrzystą przestrzeń
nad nart bliźniaczą smugą
trzepocze się plamka pąsowa
huśta się w krzaku głogu

GRUPY CZY ŻYCIE POZAGRUPOWE

(Dokończenie ze str. 1)

znaczy tylko „twórcza grupa", to nie zbieranie się kilku osób, które spotykają się i walkują wspólnie swoje utwory. A tak to u nas wygląda przynajmniej z tego, co słyszałem. Może lepiej byłoby, żeby te dyskusje dotyczyły pisarzy już uznanych, od których można się czegoś nauczyć...

M. D.: W każdym razie ty jesteś raczej zwolennikiem tworzenia się tak zwanych „grup"?

PROZAIK: Tak. Ale grupa powinna reprezentować jakiś kierunek jednolity, a nie być zbiorem osobowości zupełnie odmiennych.

POETA: Uwaga kolegi, który domaga się jakiejś jedności artystycznej grup literackich, nie jest uzasadniona. Biorąc pod uwagę historię grup literackich, sięgając w przeszłość — mam na uwadze awangardę przedwojenną, która pozornie była grupą jednolitą artystycznie i ideowo, widzimy, że niemal każdy z jej członków wykazywał inną postawę artystyczną i ideową, każdy eksperymentował w innym kierunku. Nie mówię już o grupach, które łączą się na zasadzie jakiegoś artystycznego eklektyzmu. Eklektyzm ten na pewno wychodzi na dobre takiej grupie — trudno domagać się, żeby w imię jednolitości artystycznej przykrywało się swój talent czy dyspozycje artystyczne wspólną marką grupy.

PROZAIK. Nie chodziło mi o krańcową jednolitość artystyczną czy ideową. Ale przynajmniej o jakiś cel bardziej ogólny. Jakiś wspólny program, zadanie. Że najważniejszym zadaniem nie jest tylko stworzenie grupy, ale że ta grupa ma coś realizować. Nie po to stwarza się ją, żeby tylko istniała.

POETA: Bądźmy szczerzy. Każda grupa literacka powstaje w tej chwili tylko po to, żeby jej członkom łatwiej było dostać się na półki księgarskie. Jest rzeczą jasną, że razem można prędzej do czegoś dojść. Dowodem tego jest wydany ostatnio tomik poetycki grupy „Prom". Wydaje mi się, że pojedynczo członkowie tej grupy nie mogliby się poszczycić jakimiś osobnymi tomikami. Natomiast razem, jak zresztą słusznie zauważył Z. Mikulski w recenzji z tego tomiku, razem jakoś łatwiej... Po prostu społeczeństwo i władze kulturalne miasta bardziej liczą się z grupą niż z pojedynczym literatem.

PROZAIK: W ten sposób grupa zatraca swój sens. Skoro grupa ma na celu tylko osobiste dobro swoich członków...

POETA: Zadania ogólne... artystyczne... no, na pewno wyłaniają się siłą rzeczy, ale jednak myślę, że to nie są najważniejsze sprawy.

M. D.: A więc twierdzi pan, że w tej chwili młodzi tworzą grupy tylko po to, żeby jakoś ułatwić sobie start artystyczny?

POETA: Oczywiście. Takim najlepszym dowodem jest chyba kielecka grupa „Ponidzie", która zresztą ostatnio drukowała się w „Kamenie". Osobiście uważam, że zgrupowane tam osoby są talentami artystycznie dość miernymi, ale jakoś w grupie muszą się liczyć... Słyszałem, że ostatnio nawet ma być wydany ich tomik.

PROZAIK: Zatem, forsowanie literatury za wszelką cenę?

POETA: Oczywiście. Bo to jest... bo to jest przede wszystkim m o d n e. Grupa „Ponidzie" jest tak zwaną grupą prowincjonalną, a w tej chwili jest moda na dopuszczanie do głosu grup prowincjonalnych...

M. D.: Czy to, że zasadniczo ciągle kilka tych samych osób drukuje w „Profilach" oznacza, że wokół „Profilów" tworzy się jakaś nowa grupa, czy to jest po prostu przypadek?

POETA I PROZAIK: Nie. „Profile" są dopiero na rozbiegu. Ambicją ich redaktorów jest wyjść naprzeciw młodzieży literackiej Lublina i Lubelszczyzny, ale to niestety obraca się na razie tylko w sferze ambicji. Mówi się u nas o zalewie literatury. Jest zalew grafomanii. Trudno jest skompletować większy zespół nazwisk, które nie kompromitowałyby wkładki młodzieżowej. Redakcja „Kameny" oddała młodzieży jedną stronę pisma, dając nam absolutną swobodę w doborze materiałów, programu, form literackich itd. No, ale jakoś trudno rozkręcić, trudno skupić wokół wkładki młodych...

M. D.: Na przestrzeni niewielu lat już drugie pokolenie młodych twórców ma te same problemy. Że nikt nie chce współpracować, że nie ma kto pisać, że najciekawsi ludzie uciekają z naszego miasta czy może środowiska... Tak jak ostatnio Stachura czy Tchórzewski.

POETA: Co prawda jestem niedawno w Lublinie, ale istotnie spostrzegłem, że od kilku lat daje się zauważyć tutaj jakiś „marazm". Pan wspomniał o Stachurze i Tchórzewskim. Wcześniej jeszcze odeszli Krzysztoń i Liskowacki. Pokolenie „średnie", które w ubiegłym roku debiutowało tomikami, jak Księski, Zięba, Weremczuk, i inni, to pokolenie nie bierze aktywnego udziału w życiu artystycznym, literackim miasta. Natomiast jeżeli można mówić o jakimkolwiek „tonie", to nadaje go młodzież, a szczególnie ci najmłodsi.

M. D.: Ale właśnie zaciekawia mnie fakt, że cztery lata temu oni też byli tą „najmłodszą" młodzieżą i twierdzili, że nadają ton....

PROZAIK: Mnie się wydaje, że po prostu klimat lubelski nie sprzyja rozwojowi literatury. Wystarczy pójść na jakikolwiek wieczór autorski, a zobaczymy, że jeżeli jest już jakaś reakcja, to reakcja ta jest zupełnie niekonkretna, nierzeczowa, a zresztą najczęściej w ogóle jej nie ma.

POETA: Życie kulturalne, literackie l e ż y, chociażby ze względów materialnych. Weźmy lubelski Teatr, Filharmonię, Szkołę Muzyczną — mają fatalne pomieszczenia. To są dowody już nie tylko krótkowzroczności, ile wprost niedbalstwa naszych czynników miejskich w stosunku do życia kulturalnego i artystycznego. Młodzi literaci w całej tej historii zajmują niewielki wycinek. To już nieledwie prawidłowość, że ktoś, kto ma talent, musi stąd uciekać, ponieważ nie ma atmosfery, nie ma warunków materialnych, nie ma zaplecza kulturowego.

PROZAIK: Niemniej musisz przyznać, że wkładka młodzieżowa w „Kamenie"... że Wydawnictwo Lubelskie wydaje tomiki...

POETA: Masz rację, ale nie chodzi mi w tej chwili o to, że nie mamy szans drukowania, wydawania. Mamy nawet wyjątkowe szanse w ostatnich latach, ale chodzi o to, że jeżeli ktoś ma pretensje do tego, żeby liczyć się w skali ogólnokrajowej, tutaj musi czekać naprawdę dziesiątki lat, żeby wypłynąć. Tutaj może być bogiem, ale tutaj debiut książkowy może być jednocześnie śmiercią autora. Musi czekać dwadzieścia lat na wznowienie swoich tomików czy pozycji książkowych.

PROZAIK: W pewnym sensie tak. Ale przyczyny są jeszcze inne. My przypominamy akwarium. Izolujemy się zupełnie od świata. To ciągłe kłanianie się sobie na ulicy... Mann wyraził się kiedyś, że „pisarz powinien żyć tak jak mnich".

POETA: Co przez to rozumiesz, ucieczkę na tak zwane łono natury, od kin, teatrów itd?

PROZAIK: Nie. Po prostu schowanie się w tłumie. W jakimś bardzo wielkim mieście, które z jednej strony daje nam więcej możliwości obserwacji, gdzie nawet znajomych można obserwować subiektywnie, a zresztą miasto... duże miasto...

POETA: Wielkie miasto daje nam nie tylko zagubienie się w tłumie, ale także duże wydawnictwa, centralne wydawnictwa, centralne pisma, no i ewentualne „wzięcie".

PROZAIK: Daje nam dwa razy więcej energii, niż miasto małe. Ale ja nie chciałbym, żeby nasza rozmowa sprowadzała się do wyrzekania na prowincję. Nasza rozmowa toczy się chyba w złym kierunku. Bez przerwy zajmujemy się twórcą, a nie dziełem...

POETA *(bojowo)*: Samo dzieło nie jest w tej chwili najważniejsze. Do dzieła przez żołądek.

M. D.: Czy to jest jedno z haseł grupy „Prom"?

PROZAIK: Ale dzieło...

POETA: Ty zbyt górnie mówisz o tak zwanym „artyście". Trzeba mit artysty — poety, malarza czy innego „zamyśleńca" — starać się sprowadzić na ziemię...

PROZAIK *(ironicznie)*: Zrobić z niego rzemieślnika.

POETA: A choćby nawet. Chodzi o to, żeby współczesnego artystę, człowieka, przez którego przepływa „tajemniczy strumień natchnienia" ite de, niedozwolony i nieosiągalny dla innych „zjadaczy chleba", postawić pomiędzy tamtym romantycznym pojęciem artysty, a po prostu pojętym współcześnie działaczem kultury. Według mnie współczesny artysta to jest robotnik, który „para się" kulturą. On tworzy, on żyje z tego, on zarabia. Tworzy, zarabia, żyje. Takie powinno być podejście władz kulturalnych do młodego, czy w ogóle do artysty. Powinien mieć jakieś podstawy materialne do egzystencji z tej racji, że pisze czy że maluje.

PROZAIK: A więc zaczynamy mówić o jakichś pisarzach profesjonalistach. Nie wiem, czy jakiś profesjonalista w naszym mieście egzystuje...

POETA: ...słowo „poeta" wydaje się przeciętnemu człowiekowi rzeczą nieosiągalną. A trzeba widzieć w tym poecie zwykłego człeczynę, który musi jeść.

PROZAIK *(zjadliwie)*: No i który musi pisać... chyba.

POETA *(łaskawie)*: Pisać...

PROZAIK: Bo jeżeli pisać nie musi, to po co pisze?...

M. D.: Ale czy młodzi literaci nie za wcześnie, czy młodzi w tej chwili nie za dużo żądają?

POETA: ...Żądamy tego, żeby mieć jakieś warunki do egzystencji, do zaczepienia się w tym mieście. Jest rzeczą wiadomą, że wielu młodych przychodzi z prowincji i oni muszą mieć szanse pozostania tutaj. Jest wielu młodych, którzy studiują i mają przed sobą jedyną perspektywę powrócić tam, skąd przyszli.

M. D.: Przypomina mi się tutaj zdanie, które przeczytałem przeglądając numery wychodzącego przed czterema laty Dodatku Literackiego „Kuriera Lubelskiego" — „Teraz", organu Klubu Literackiego. Jeden z redaktorów ubolewa nad sytuacją (oczywiście w Lublinie) ....„wielu wartościowych ludzi, którzy po studiach idą do biur i nie myślą o literaturze, bo nikt im tego nie umożliwia". Czyli inaczej: my jesteśmy młodzi poeci, literaci, dajcie nam jeść, bo my nie możemy tworzyć. Przecież jak wy nam nie pomożecie, to my do biur pójdziemy.

POETA *(bojowo)*: Ja bardzo chętnie pójdę do biura. Niech mi społeczeństwo zapewni pracę w biurze i jakiś kąt, a będę w pełni zadowolony.

PROZAIK: Ale wtedy będziesz urzędnikiem, a nie poetą.

POETA: Urzędnikiem, a po godzinie piętnastej będę poetą.

PROZAIK *(złowieszczo)*: Nie będziesz poeta, praca biurowa tak otępia.

POETA: Otępia. Każda praca otępia.

PROZAIK: A swoją drogą, jeżeli obniżamy już rolę artysty, jeżeli robimy z niego rzemieślnika...

POETA *(przerywa)*: Młodzi sami powinni decydować o sobie. Nie możemy oczekiwać na mannę z nieba. Nie wystarczy tylko „rozrabiać" w literaturze, musimy także dopominać się o swoje.

PROZAIK: To wobec tego musimy zastanowić się, dlaczego my nie „rozrabiamy"?

Rozmowę przeprowadził
Mirosław Derecki

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNA MŁODYCH

SZAFA

JERZY MATACZYŃSKI

WIĘC nie odczuwasz, jak one cię omotują, rozłażą się, zachodzą ze wszystkich stron i wsysają w siebie, spojrzenie twoje wydłuża się, jak napięta guma i pociąga za sobą, co sprawia, że musisz ich dotknąć. Chcesz wyłowić z nich, wyrwać jądro, ten korzeń magnetyczny i natrafiasz palcami na gładką politurę. To jest jak gdyby nagle zapalono światło. One chowają się, stają się skryte, fałszywe...

— Jak w dzień, prawda? — powiedział. — Takie skoncentrowane w sobie jakby planujące atak, jakiś rozległy front, oskrzydlenie. A później...

— Tak, tak — potwierdzałem — Właśnie tak.

A później roją się po całym pokoju i jestem pewien, że gdybym nie spał, przyłapałbym je w najbardziej nieoczekiwanych punktach. One się tego boją... jeszcze się boją...

Ale tylko on rozumiał. Kiedy w podobny sposób zagadywałem innych, patrzyli na mnie badawczo i odchodzili, pozostawiając wzruszenie ramion, albo jeszcze gorzej: — Nie! U mnie są wszystkie ustatkowane. Nie ruszają się... Nawet przeciwnie — rechotali — gdy chcę je przesunąć, stawiają opór. Jeśli ci chodzi o ten opór, o to stawanie okoniem, wtedy tak, zgodzę się.

Odchodziłem zrażony ich ignorancją i wyrozumiałością.

Byli też tacy, u których napotykałem jedynie milczenie, na próżno dobijałem się: — One, jakby się dematerializują, przemieniają w mrok i ciszę. Podlegają tym samym prawom co powietrze, wioną...

Wymijali mnie z tymi potwornymi twarzami sarkofagów, bez jednego błysku zaciekawienia w oczach, kamienni, rzeczowi. Tylko on, ale on przyjeżdżał do miasta rzadko. Kiedy załatwiał interesy, telefonował. Biegłem i już w drodze na dworzec wymienialiśmy swe spostrzeżenia. Plątaliśmy trochę, bełkocząc pośpiesznie, chcąc zawrzeć w parominutowej dyskusji wszystko, co zaobserwowaliśmy w dniach rozłąki. Żegnaliśmy się, gdy rozmowa zaczynała się dopiero rozkręcać, nabierając pikanterii, tej masońskiej konspiracyjności. — Następnym razem postaram się mieć więcej czasu. Cześć. — Odchodził do wagonu niechętnie, nie odwracając się i szybko zatrzaskiwał drzwi. Pozostawało mi milczenie tamtych, ich gest pobłażliwości, będący, jak machnięcie ręką: — Ech! Co tam!... Więc wy naprawdę nie?... — Znowu starałem się olśnić, rozedrzeć kurtynę, ale spoglądali w zdziwieniu na zegarek i żegnali się: — To już piąta? Psiakrew! Lecę, nie masz pojęcia, jak się śpieszę!

Powracałem, aby znaleźć, odkryć argument, którym potrafiłbym ich przekonać. Najpierw podsłuchiwałem pod drzwiami i gwałtownie przekręcałem klucz: coś pierzchało w pośpiechu, ustawiało się. Nie o to mi jednak chodziło. Mijałem kuchnię i wkraczałem do pokoju, gdzie ona stała jedna, ze wszech stron widoczna, tuż przed krzesłem, z którym na pewno nie mogła się porozumieć, a które mimo to wynosiłem czasem do kuchni.

— Spróbujcie ustawić je tak same, odizolowane od reszty, a wtedy poczujecie, jakby was obejmowano ramieniem i zaciskano nieubłagalnie, jak obcęgi, a na piersiach siada — noc.

— Noc?

— Tak, noc. Siada okrakiem i dusi.

— Masz na myśli zmorę, to już wyjaśniono. Jeszcze niektórzy na wsi... tak, lecz to przesądy. Być może są to początki astmy, albo coś takiego. Ooo! To już piąta? Bardzo cię przepraszam, wiesz, ja...

Ciągle uciekali, a ja wracałem. Siadałem na krześle i obserwowałem. Stała cicho, przyczajała się. Czasem po drugiej stronie uliczki, uliczki wąskiej jak rynsztok, w której, gdy idziesz, kroki unoszą się w górę aż do dachów, gdzie osiadają i leżą rozpłaszczone. Otwierano na balkonie drzwi i po politurze sunął refleks światła, spływał jak deszcz, przyklejał się i trwał jeszcze długo po zgaszeniu lampy. Raz, myśląc, że śpię, zaświecono stamtąd latarką; światło odbiło się i ugodziło we mnie, jasne jak elektryczny łuk świdrowało, kłuło, że omal nie krzyczałem. Milczałem, jednak, wiedziałem, że zasługuję na to za swoją niedyskrecję, za nieustanne szpiegostwo tajemnicy.

— Albo błyśnijcie znienacka latarką, poczujecie, jak by wam wypalano oczy.

— Lustro, odbicie promieni, to normalne. Jeżeli masz na myśli zwierciadło płaskie, rzeczywiście racja.

— Nie! — krzyczałem. — Lustra to tępota, powtórzenie. One mnożą światło, wytwarzają część jego same.

— Zatem zaprzeczasz prawom fizyki? Dziwne, ty człowiek wykształcony — urywali dyskusję. A przecież było tak, jak mówiłem. Kiedy zasypiałem, kiedy zamknąłem oczy, obstępowały łóżko, przesuwały się wokół jak mgły, pochylały się, aż strach podchodził do gardła. Budziłem się. Próbowałem spać wewnątrz. Niekiedy w nocy słyszałem szelest palt, odczuwałem tę specyficzną duszność, fluid, jaki wydzielała, a ściany też naciskały. Stąd wniosek, że napierają we wszystkie strony. On, gdy przyjechał, pojął od razu. — To już niedługo — powiedział — Trzeba by coś zaradzić, przeciwdziałać.

— Po co, przecież zdajesz sobie sprawę, że wtedy my stalibyśmy się bezużyteczni. A tak może nam w końcu uwierzą.

Dobrze, a co będzie ze światem?

— Pozostanie taki jak dawniej. To niezupełnie tak, jak myślisz. To chyba nie są zamiary wrogie, a tylko wdzięczność wyrażona w niewłaściwy sposób. Ja czasem odczuwam to jak pieszczotę.

— Tak, ja niekiedy też, lecz jednak się lękam. To może przybrać olbrzymie rozmiary — zatrzaskiwał drzwi, odjeżdżał. Wracałem.

Czasem nawet nie trzeba było zasypiać. Wystarczyło popatrzeć trochę dłużej, a ciemność zaczynała falować, jakby była wstrząśniętym słupem wody, lakier odpadał, rozsypywały się, przylegały na chwilę do podłogi, przycupnięte, czające się żądła, a potem wznosiły się, krążyły gęste, mroczne, czuło się dotyk ich macek, będący jak prąd ciepłego powietrza, jaki ogarnia nas przed piekarnią, tylko woń inna, stęchła, wijąca się.

— Albo to wplątywanie we włosy, jak gdyby mierzwił je wiatr, nakręcał na palce, rozwijał, potem całą dłonią gładził. Czy nie stykałeś się z tym?

Milczał, był z rodzaju sarkofagów, odepchnął mnie ręką i przez pewien czas widziałem jego plecy, plecy, z których można odczytać, że właściciel nosi brzuch, że pojmowanie u niego ma charakter żołądkowy. Wracałem. Ciemność puchła znowu ich obecnością, stawały się trochę natarczywe. Zamykałem je w kuchni, dążąc do poznania konkretu, a on stał pośrodku podłogi, obrysowany ołówkiem, precyzyjnie wracający w to obrysowanie, wracający niezależnie od wieloistotowości, jaką przybierał i od tempa, w jakim się montował ponownie. W dzień możesz je opukiwać, podważać i poddają się bezwolne, bierne, ale niech się tylko ściemni... Zatracają swą ostrość, kanciastość i wyrazistość, gniją. Rozkład powtarza się cyklicznie, zaczyna o każdym zmierzchu i gaśnie, gdy świta. Jesienią to nawet rano, gdy świt jest nagi, jakby się sam wypatroszył, gdy krople strzepią się na szybach, a liście leżą zmięte i spłakane, zachowują jeszcze tę widmową formę, zamazaną, nieokreśloną, ćmiącą jak ból zęba. Ale to rano i jesienią. Może czasem zimą, w tym wypadku trudno porównywać konwencje czasowe. Wiosną są zaskoczone, latem — nawet trudno podpatrzeć je w nocy. Lecz jesienią najlepiej jest to odczuwać: są jakby je wydymano, wydmuchiwano jak mydlane bańki, w ciągłym napięciu, śledzeniu momentu, w którym już dość, bo pękną, rozpełzną się, osaczą i wtedy coś wyrywa ci po kawałku serca, czujesz się jak Prometeusz; chcesz odepchnąć i przycisnąć, lecz oczekujesz nieruchomo, leżysz, świta, zasypiasz.

— Więc powiadam: trzeba trochę zaangażowania, by zacząć odczuwać to mrowienie, to bezustanne ociekanie przedmiotów. Spytajcie jego! — wskazywałem mego przyjaciela! Postanowiłem uderzyć we dwóch, uczynić rodzaj krucjaty. — Omotują cię, wsysają i spojrzenie rozciąga się jak guma. Prawda? Ale on zawiódł. Nie — mówił — co najwyżej stawiają opór, gdy je chcę przesunąć, to tak. Ale nie pełzają, przynajmniej u mnie nie.

— A to ciągłe podawanie ręki, te uściski, te szarpiące ukłucia — kłamałem, aby sobie przypomniał, aby sprostował.

— Nie! Nie! — zaprzeczał. Sarkofagi zaczęły się uśmiechać. Wyciągnąłem go za drzwi i idąc na dworzec próbowałem ciągle.

— Więc nic? Przecież mówiłeś sam, że to groźne. Chyba masz rację, rzeczywiście niebezpieczne.

Już odchodził, zamknął starannie drzwi wyjściowe wyjrzał przez okno, pozdrawiając mniej głową. Wróciłem. Czekałem na zmierzch.

Człek człekowi nie dorówna

JA, PROSZĘ państwa, rozumiem konieczność dyskusji, rolę wychowawczą, jaką spełnia, rozumiem też, że dialektyka, że w walce najświatlejsze rodzą się poglądy, a przy tym nie neguję dyskusji w ogóle, skądże, jestem jak najzacieklejszym jej stronnikiem. Śmiech mnie, jednakże, ogarnia, a „później litość i trwoga...", kiedy ową odfajkowaną w punkcie a czy b dyskusję zaczyna się realnie odfajkowywać. Tu pozwolę sobie wtrącić, że chodzi mi głównie o dyskusję po imprezach określanych mianem kulturalnych. Bo cóż się dzieje na takich imprezach. Wchodzi prelegent lub autor, mówi, tłumaczy, czyta. Oklaskuje go się lub nie, po czym zaczyna się odfajkowywanie, które z grubsza i niezupełnie adekwatnie można podzielić na trzy rodzaje. Otóż rodzaj pierwszy jest milczeniem, sala lęka się, sala nie ma nic do powiedzenia i autor wznosi się na piedestał — jeżeli już dotychczas na nim nie siedział, a przynajmniej o tyle się na ten piedestał wznosi, że przez pewien okres, czas, dopóki ktoś kompetentny nie powie: „dość, na tym dzisiaj zakończymy" — istnieje tylko on i sala, przy czym on liczy się bardziej, bowiem przez kilkadziesiąt minut wiódł słuchaczy (jeśli oczywiście słuchali) dokąd tylko zapragnął. W wypadku, gdy mieliśmy do czynienia z autorytetem, milczenie wydaje się uzasadnione. Młodzież uczy się w milczeniu — jak trafnie wyraził się któryś z publicystów na marginesie pewnego sympozjonu. Zatem uszanujmy naukę. A jeśli młodzież (zrzućmy wszystko na młodzież) przypadkiem się nie uczy, mimo to zachowując milczenie, znaczy to, że nie czuje się upoważniona do zaczepiania autorytetu powierzchownymi i nieprzemyślanymi zarzutami, albo też zakłada, że skoro autorytet jest autorytetem, to nie ma go o czym pouczać i bezsensowne byłoby podważanie go, bo on i tak pozostanie autorytetem. Jeżeli milczenie wynika z innych jeszcze przyczyn, to trudno, uszanujmy milczenie, a imprezę jako chybioną odłóżmy.

Dwa pozostałe rodzaje są aktywne: sala reaguje, a zwłaszcza wtedy, gdy autor dopiero się do piedestału przepycha. Reakcja jest bądź rzeczowa i rozsądna i wtedy jest wszystko w porządku, bądź też niesprecyzowana, a ma to miejsce wtedy, kiedy sala jest salą „kozacką". Odbywa się to całe misterium mniej więcej tak: facet w pierwszym zdaniu atakuje albo pochwala autora. Jeżeli atakuje dyskusja ma szanse powodzenia, jeżeli nie — dyskusja umiera, zapomina się o autorze, autor staje się pretekstem, szarzeje, a facet gada. że owszem on świetnie pojmuje intencje autora, który może nawet nie jest złym autorem, ale dajmy na to Butor, nad którym facet ostatnio pracuje, ujął by ten temat zgoła inaczej, a on, facet, z gruntu odmiennie i dlatego nie ma co mówić o autorze, natomiast kiedy on, czyli facet, był w Paryżu, tu pada nazwisko znanego krytyka, czy pisarza, to ten krytyk czy pisarz powiedział, że jest tak a tak. Prelegent lub autor z tych, którzy nigdy dalej niż do Szczecina nie podróżowali, kurczy się, z punktu nabawia się kompleksu i nurtuje go tylko jedna myśl: umknąć stąd, albo się schować, a nade wszystko, zwariować się nie dać. Wszyscy inni, którzy w Paryżu nie byli, uczą się w milczeniu, tym razem z konieczności. Cóż, człek człekowi nie dorówna. Ale tym czasem inny facet, który był z kolei w Rzymie i któremu Sam Pirandello, zanim jeszcze umarł, omal ręki nie uścisnął, podnosi się z miejsca krzesła. Potem inni faceci opowiadają, co i gdzie przeczytali i jakie w związku z tym zajęli stanowiska. Dyskusja się rozdziwacza, stając się tworem samym w sobie, którego jedyną przyczyną jest takie ogólne zebranie, z jakiej okazji — nikt już nie pamięta, gdzie pozwolono głośno i swobodnie gadać. Czasem, bardzo rzadko co prawda, zdarza się, że sala, a przynajmniej część najbardziej ambitna i wygadana, zasiada na podium, wtedy zaś... O, wtedy... Nie, ja tego nie napiszę, nie potrafię. Ale co by na to powiedzieli, tacy np. perypatetycy, co? Zastanówmy się chociażby nad tym, tak niezobowiązująco, przy obiedzie... Pozostałoby już tylko wymienić powody, dla których stan taki się utrzymuje, lecz czy warto usprawiedliwiać wady nie zaskarżone, ja, bowiem, nie oskarżam, ja się wyłącznie dziwię, zakładam veto i nawołuję: jeżeli już musimy gadać, to gadajmy, proszę państwa ad rem, do rzeczy.

J. M.

Ze współczesnej poezji algierskiej

HENRI MESCHONNIC

Aby widzieć jasno

Ukaż ręce pokoju.
Piasek i cedry.
I ogień twoich zbóż.

Straciłaś rachubę nieszczęść.
Krzyczysz jak matka.
Umarłym nie trzeba sztandarów.
Oto ci, którzy rażą swym śmiechem.

• • •

Słońce
przykleja muchy na skórze.

Drgnienia nicości
podszywają skórę strachem.

Twarz wojny
wzięła na siebie kształt
[twych kości.

• • •

Wszystkie ciała spływające
[skalnym potokiem
jak ustający deszcz.
Skóra krzyczy jak rana
blisko ich ust.
I twe oczy młodości,
zasiane morze.
I próżna krew na zlepionych włosach.

Przełożył **J. T. Królikowski**

HENRYK PAJĄK

Kiedy umiera człowiek

kiedy umiera człowiek
przypadek czy ostrzeżenie

kiedy powstaje strzelba,
rodzi się ptak — przypadek
[czy system

kiedy powstaje system —
jest człowiek strzelba i ptak

kiedy dziewczyna kocha ręka twoja
na biodrach jej — przypadek
[czy ostrzeżenie

kiedy dziewczyna umiera
[całujesz ją w oko
i czujesz jego wypukłość łagodną —
powstaje człowiek
upada system
łamie się strzelba
i ptak odlatuje do ciepłych
[wspomnień

„Opera za trzy grosze", scena z aktu II. Na zdjęciu wykonawcy w premierowej obsadzie w I rzędzie od prawej ku lewej: St. Mikulski (Mackie Majcher), L. Suchecka (Polly). Z. Fok (Pastor). W II rzędzie — ludzie Mackie: W. Lisowski, W. Wiszniewski, M. Drozdowski, J. Strzemień i Z. Czeski.

SKŁADANKA TEATRALNA

ANNA TATARKIEWICZ

LIRYKA, LIRYKA, TKLIWA DYNAMIKA

W UBIEGŁYM roku sceny polskie pozostawały pod znakiem O'Neilla; w tym sezonie dominantą będzie chyba Brecht, autor, który po zmiennych kolejach stał się uznaną wielkością u nas ostatnio zaś także wielką rewelacją teatralną na Zachodzie. W ramach nieoficjalnego festiwalu brechtowskiego Warszawa dała „Matkę Courage" i „Karierę Artura Ui" z wielkimi kreacjami Eichlerówny i Łomnickiego; Lublin doczekał się wreszcie swego pierwszego Brechta — „Opery za trzy grosze" w opracowaniu utalentowanego inscenizatora, jakim jest zaproszony — niestety, tylko na gościnny występ do Lublina — Jerzy Goliński.

Cóż można powiedzieć o sztuce Brechta po tym wszystkim, co o niej mówiono? Każdy kontakt z teatrem Brechta potwierdza od nowa prawdy, których dziś nie trzeba już odkrywać: że jest to artysta teatru o absolutnym słuchu scenicznym, że jest to moralista o wizji świata nie prostej, a w każdym razie nie uproszczonej, aczkolwiek nieraz zdarzało mu się padać ofiarą uproszczonych interpretacji. „Opera za trzy grosze" to krzywe zwierciadło, podstawione światu, zdeprawowanemu przez pieniądz, a rządzonemu przez namiętności. Brecht spod maski jarmarcznego klowna oskarża porządek społeczny, w którym pieniądz jest najwyższą wartością, ale nie oszczędza także natury ludzkiej dla której najwyższym prawem bywa — jakże często — namiętność: żądza władzy, jak u króla żebraków Peachuma, u króla bandytów Majchra, u króla policjantów Browna; nałóg — jak u pijaczki, pani Peachum; erotyka — jak u wszystkich kobiet z „Opery" i u Majchra. Namiętności, które, co prawda w odmiennych szatach, spotykamy od początku ludzkości, we wszystkich czasach i w każdej formacji ustrojowej.

Reżyser przedstawienia, wyprowadzając komentatora na proscenium, podkreślił nasz dystans wobec scenicznej ballady o bandycie wydanym przez kochankę, a same perypetie Majchra i jego lubych potraktował — zgodnie z duchem utworu — jako pretekst do drapieżnej, chwilami makabrycznej, ale jednak przede wszystkim *zabawy*. Błysk noża i cień szubienicy padają tu tylko jakby „accent aigu" — ostry akcent — na rechot rozpasanej hulanki i uniesienia brutalnych namiętności, sublimujących się chwilami w tkliwą lirykę.

Ale właśnie z tą liryką dzieje się w spektaklu (przynajmniej w jego niepremierowym kształcie, jaki oglądałam) coś dziwnego. Wydaje się, jakby żywioł liryczny, który w sztuce jest nurtem wyraźnym, ale nie jedynym i nie najważniejszym — zmajoryzował pozostałe. Trudno rozstrzygnąć, czy wynikło to z zasadniczego zamierzenia reżysera, czy z predyspozycji obsady, która na przekór reżyserowi sprawę tak, a nie inaczej przesądziła, czy może reżyser się do takiego układu volens nolens przystosował. Liryzacja spektaklu wiąże się przede wszystkim z ujęciem postaci Polly. *Lucyna Suchecka*, blondynka o dziewczęcym wdzięku, od początku do końca gra Polly lirycznie, nawet wówczas, gdy taka interpretacja napotyka wyraźny opór tekstu (w scenie przejęcia przez Polly wodzostwa nad bandą, w scenie pod szubienicą, gdy odmawia Majchrowi pieniędzy na wykup) cały czas jest zakochaną na umor dziewczyną, ani na chwilę natomiast nie dopuszcza do głosu nieodrodnej córki pana Peachum, dla której mimo wszystko najważniejsze jest konto bankowe. W podobnym stylu — zresztą bardzo ładnie — nakreślił Majchra *Stanisław Mikulski*, wydobywając przede wszystkim wdzięk pożeracza serc i dżentelmena, a na daleki margines odsuwając bandytyzm. Nie mogła tej lirycznej pary kochanków zrównoważyć tak istotna dla sztuki postać pana Peachum w interpretacji *Henryka Dłużyńskiego*. Artysta mimo widocznych rzetelnych starań po prostu nie udźwignął tej trudnej roli: najwyraźniej — i słusznie — chciał zagrać Peachuma powściągliwie, ale niestety, zagrał go przede wszystkim poczciwie, gubiąc prawie całą kapitalną dla sensu sztuki drapieżność i swoisty intelektualizm tej postaci. Natomiast podobała mi się pani Peachum *Niny Czerskiej*. Czerska potwierdziła raz jeszcze swe możliwości charakterystyczne; jej pani Peachum jest zarazem groteskowa i dramatyczna, i tym samym chwyta ton, który — jak mi się zdaje — powinien dominować w spektaklu. Wyraziste sylwetki kompanów Majchra zarysowali panowie: *Marian Drozdowski*, *Witold Lisowski*, *Jarosław Strzemień*, *Henryk Bista* i *Zbigniew Czeski*, z tym, że *Bista*, *Czeski* i *Drozdowski* położyli większy nacisk na wyraz dramatyczny, *Lisowski* zaś i *Strzemień* wyróżniali się siłą komiczną. Po „stronie Peachuma" sekundował im *Witold Zarychta* w roli Filcha; policjanta Smitha plastycznie i zabawnie zagrał *Stefan Buczek*. *Teresa Mikołajczuk* w roli Jenny zaprezentowała interesujące warunki i duże możliwości na przyszłość, w tej chwili jednak nie dostaje jej jeszcze dojrzałości wewnętrznej i aktorskiej, jakiej wymaga od odtwórczyni dramatyczny i przejmujący song piracki (swoją drogą przypadło jej niełatwe zadanie konkurowania w tej roli z pamiętną

(Dokończenie na str. 11)

NIEBOSKI JULIUSZ

(Dokończenie ze str. 7)

wydał na jego *(Cezara — przyp. mój)* cześć spadkobierca August, przez siedem dni bez przerwy świeciła kometa (...) i uwierzono, że jest to dusza Cezara przyjętego do nieba", przecież tę „boskość" Bocheński traktuje ironicznie i dlatego postawiłem kropkę nad i w nagłówku swej recenzji. Dalej nie zgodzę się z Maciągiem, gdy mówi: „Jacek Bocheński jako demaskator obnażający psychikę Juliusza Cezara, ironizujący na temat jego historycznej wielkości! Nie! To byłoby zbyt szokujące!" Dlaczego szokujące? Dlaczego odbrązowiło się tylu dyktatorów, a Cezar miałby być nietykalny? Czyż tak wielka jest sugestia podręczników szkolnych i szekspirowskich, dość zresztą dwuznacznych jeremiad Antoniusza? Przecież już Shaw w „Cezarze i Kleopatrze" i Wilder w „Idach marcowych" rozzuli Juliusza z koturnów...

Nie ma racji również Lisiecka, która pisze w „Nowej Kulturze", że Cezar Bocheńskiego „jest sympatyczny w słabostkach i kaprysach, godny podziwu w genialnych posunięciach". Proszę wskazać którąś jego „słabostkę" lub „kaprys", które by skłaniały do takiej opinii. Może ten upominek dla Serwilii, ta „perła wartości sześciu milionów sestercjów", nabyta za ociekające krwią łupy zdobyte w Hiszpanii? Może uwiedzenie Mucji podczas nieobecności walczącego z Mitrydatesem Ptolomeusza, która „ma już troje dzieci, jest kobietą — no jakby to powiedzieć — w pełni dojrzałą" — dla „takiej męskiej satysfakcji" nad jej mężem? Może... ale dość tych przykładów: każda „słabostka" i „kaprys" Cezara były z góry obliczone i służyły określonym celom tego zimnego drania. A „genialność posunięć"? Posunięć wiodących go stopień po stopniu do szczytu władzy? Po hekatombach trupów, po śliskich brudnych zabiegach dyplomatycznych? W takim sensie i zbrodniarz może być genialny i genialny był Hitler stosujący podobne metody. Nie! Nie może być mowy o „boskim" Juliuszu: Juliusz jest na wskroś szatański. Ohyda tego człowieka wystąpiła w całej pełni, gdy mścił się jeszcze po śmierci swego przeciwnika, gdy w triumfalnym pochodzie kazał nieść karykatury Katona, gdy splugawił jego braterską miłość rozpuszczając niecne „rewelacje", jakoby „Katon przesiał prochy Kwintusa przez sito szukając złota".

Ale nie tylko dyktator przykuwa naszą uwagę w eseju Bocheńskiego. Aby lepiej uwypuklić tę postać, autor przedstawia ją na tle innych osób działających w tym okresie i ocierających się o Cezara. W ten sposób powstały duchowe portrety takich ludzi, jak poeta Katullus, senator i mówca Cycero i nieposzlakowany stoik — Katon, świetne miniatury, z których każda w pewnym sensie stanowi całość. Różni to ludzie, mali i wielcy w swym człowieczeństwie, ale uczciwością wszyscy górujący nad Juliuszem. Zwłaszcza kryształowa postać Katona i relacja o jego stoickiej śmierci przedstawiona według Plutarcha budzi nasz podziw i każe uchylić czoła przed czystością tego człowieka, w którym naprawdę jest coś z boskości.

Książka Bocheńskiego ma luźną kompozycję. Dzieje Cezara przedstawia od wojny gallickiej, której poświęcona jest cała I część — „Okrucieństwo". Ale w dalszej relacji autor cofa się nieraz do czasów dawniejszych, a stwierdziwszy jeszcze w części II („Łaska"), że „martwy Cezar padł pod pomnikiem Pompejusza", wraca jeszcze do r. 44 w części III („Miłość"), co nie przeszkadza, że w części IV („Nienawiść"), poświęconej Katonowi, wciąż mowa o Cezarze. A „Zakończenie", przedstawiające śmierć stoika z Utyki, formalnie nie jest „zakończeniem" książki o Juliuszu.

„Boski Juliusz", niezależnie od przedstawionych w nim losów głównej postaci, jest jedną wielką parabolą. Odsłania mechanizm, którym posługują się „nadludzie" — we własnym mniemaniu — dążąc do władzy. Podobnie działał Napoleon, Mussolini, Hitler. Oczywiście, że nie kładę tu znaku równości między tymi ludźmi różnego kalibru. Ale gdy Cezar głosi: „Kraje wasze będą wyzwolone" przypomina się nam „wyzwalanie" Austrii, Niemców sudeckich czy Słowacji. I słusznie „przywódcy gallijscy mówili, że jest to okrutny barbarzyńca — nie mogli dłużej znosić jego tyrańskiej okupacji". A czyż hitlerowskie Monachium nie przypomina się nam, gdy czytamy o zabiegach dyplomatycznych Cezara w Galii?

Na zakończenie należałoby jeszcze powiedzieć słów kilka o stylu autora, o jego sposobie narracji. Zrazu szokuje nas to nieco nonszalanckie traktowanie czytelnika. „Cezar. Ach, rozumiem, to imię zniechęca. Wolelibyście państwo coś aktualniejszego... Cóż za przyjemność wdychać tyle kurzu... Całą pracę, która wydaje się nader niewdzięczna, wykona za państwa antykwariusz... Już na wstępie przypomina się państwu, że sam Cezar napisał pamiętniki z wojny gallijskiej". Albo: „Wiedzą państwo o wojnie, która wybuchła później między Cezarem i Pompejuszem". Lub: „Czytelnik zechce sobie przypomnieć pewne szczegóły historyczne". I w ten sposób nieraz. Ale stopniowo przyzwyczajamy się do tego prowadzenia za rączkę: ten chwyt zbliża nas jednak do autora i ożywia książkę.

A styl? Weźmy dla przykładu opis wojny gallickiej całkowicie przetransponowany z pamiętników Cezara. Ale jak? Czyta się jak sensacyjną powieść. Od Juliusza wziął Bocheński jego klarowność i zwięzłość, ale raz po raz przeplata ją jakimiś komentarzami odautorskimi lub tylko ironicznymi wstawkami. Bo ironia to zasadnicza broń autora, który na pozór beznamiętnie i chłodno relacjonuje okrucieństwa Cezara w Galii. Raz tylko nie wytrzyma i komentarz nabiera rumieńców: „W Galii będzie powstanie", bo „jasno sobie powiedzmy, że wszyscy ludzie pragną swobody i nienawidzą niewolnictwa, powtórzmy ten truizm jeszcze raz, wbijmy sobie w głowę, że będą drugiego nienawidzili, że nie zmieni to się nigdy". Styl Bocheńskiego może być wzorem prostoty, zbliża się nieraz do mowy potocznej; autor czasem nie unika nawet zbyt swobodnych wyrażeń, ale nigdy nie wulgaryzuje.

Zamykając „Boskiego Juliusza", stanowiącego po „Pożegnaniu z panną Syngilu" drugi poważny etap w rozwoju twórczości Bocheńskiego należy mu życzyć, by nie poniechał tematyki zaczerpniętej ze starożytności, na której terenie porusza się tak łatwo. I zdaje się, że ta sugestia płynie po myśli jego zamiarów *).

K. A. Jaworski

*) *Jacek Bocheński*: „Boski Juliusz" — zapiski antykwariusza. Czytelnik 1961.

Od Domu Technika do FSC

(Dokończenie ze str. 1)

ka. Wielka? Gdy jej pierwszy dyrektor, rysując patykiem na ścieżce placu Litewskiego kontury przyszłych hal, mówił, że będzie wielka — byłem przekonany, iż nie mówi prawdy. Mnie się wydawała superwielka. Byłem przy zakładaniu pierwszych kamieni węgielnych, montowaniu pierwszych tego rodzaju na Lubelszczyźnie wiązarów dachowych, przy montowaniu pierwszych samochodów. Byłem dumny, ale jednocześnie co kilka miesięcy dowiadywałem się od inżynierów, że to wszystko mało, że trzeba pilnie wybudować jeszcze taką halę, uruchomić taki wydział, rozpocząć produkcję czegoś nowego. Dziś fabryka jest większa, niż owe pierwsze projekty na piasku, a mimo to wiemy, że nie jest jeszcze pełnym organizmem.

Fabryka powstawała w szczerym polu, odgrodzona od miasta rzeczką, od wsi miedzami, trudniejszymi naówczas do przejścia niż głębokie wąwozy. Zanim jeszcze zaczęła powstawać sama fabryka, wokół zaczęły wyrastać najpierw murowane, potem — potrzeby były bardzo niecierpliwe — drewniane baraki. Wszystko to miało być prowizoryczne — a przetrwało do dzisiaj. Mieszka w nich chyba ze 400 rodzin i połowa tego samotnych. Potem wzdłuż szerokiego wejścia do fabryki wyrosło już dobrze wyposażone tzw. osiedle awaryjne — dla pracowników, którzy w każdej chwili muszą być do dyspozycji, gdy coś nawali, gdy powstanie groźba wstrzymania produkcji, gdy zatnie się jakieś kółko skomplikowanego mechanizmu fabryki. Ówcześni urbaniści nie bardzo musieli wierzyć w przyszłość fabryki, jeżeli jej pierwsze osiedle mieszkaniowe zlokalizowali aż przy szosie do Zamościa. Wprawdzie dzięki temu powstała nowa dzielnica Bronowic, ale w rezultacie wielu pracowników FSC — zamiast mieszkać w budującej się dzisiaj obok osiedla awaryjnego dzielnicy Tatary — chodzi pieszo do Bronowic, mijając się po drodze z mieszkańcami Tatar, zdążającymi w przeciwnym kierunku. Ale dajmy pokój urbanistom.

Środowisko FSC to rzecz bardzo *skomplikowana*. W czasie pracy kilka ładnych tysięcy ludzi, z których wielu do dzisiaj jeszcze nie zrzuciło podwójnej skóry robotnika-chłopa. Gdy tylko syrena oznajmi koniec pracy, olbrzymia większość z nich wyjeżdża — jedni do innych dzielnic miasta, inni do pobliskich wsi. W chwili, gdy sprzed fabryki ruszają samochody z pracownikami, oni sami tracą niemal całkowicie więź z fabryką. Staje się ona dla nich czymś dalekim, niemal abstrakcyjnym, chociaż niewątpliwie potrzebnym. Ale zawsze dalekim. Niemal martwym przedmiotem, z którym ani nie chce się, ani nie można nawiązać ściślejszego kontaktu. Fatalna komunikacja sprawia, że nawet ci zmieszkali w śródmieściu bronić się będą „nogami i rękami" przed przyjeżdżaniem po południu na różne kursy, zebrania koleżeńskie, nawet zabawy czy inne imprezy w klubie. Bo jazda w jedną stronę to przynajmniej godzina cennego czasu, nie licząc długiego nieraz czekania na przystankach, oberwanych w tłoku gurikach. I chyba mają rację, że nie opłaca się skórka za wyprawkę. A o tych, którzy mieszkają poza miastem, nawet nie ma co mówić.

Jakie więc jest poza pracą środowisko FSC? Na miejscu pozostają mieszkańcy osiedla awaryjnego, stosunkowo nieliczni i sprowadzeni tu z najróżniejszych krańców Polski. Częste zmiany personalne w fabryce powodują, że nie bardzo jest czas na nawiązanie bardziej trwałych stosunków towarzyskich. Z jednej i drugiej strony baraki — murowane i drewniane. Część mieszkających tam ludzi nie jest już niczym związana z fabryką, mieszkają tutaj, ale pracują poza FSC. Jako mieszkańcy tych baraków, z natury rzeczy gorzej wyposażonych i w praktyce znacznie gorzej utrzymanych, czują się tu obywatelami drugiej kategorii. W sąsiednim osiedlu Tatary pracownicy FSC stanowią tylko część mieszkańców, pozostali otrzymali mieszkania z przydziału, ale od początku pracują w innych zakładach pracy, przeważnie zresztą w dalekim śródmieściu.

Czy i co łączy tych wszystkich ludzi? Raczej miał jeden z inżynierów, gdy zwierzał się:

— Łączy nas przede wszystkim to, że i nasza fabryka, i związane z nią osiedla i baraki, i pobliskie chałupy wiejskie Zadępia — żyjemy nie w Lublinie, ale obok Lublina. To nie żadna przesada. Odcina nas od miasta przede wszystkim owa fatalna komunikacja. Nieregularna, rozklekotana na wybojstych brukach, mocno niewystarczająca, unieruchamiana tak wcześnie, że uniemożliwia nawet upartym korzystanie z imprez kulturalnych odbywających się wieczorem w mieście. Łączy nas podle zaopatrzony sklep mięsny chociaż właśnie w pobliżu jest i rzeźnia, i chłodnia — jeszcze gorzej zaopatrzony sklep warzywny. Łączy nas brak tak potrzebnej szkoły — budowa podstawowej wlecze się ślimaczym tempem, o średniej to nawet nikt nic mówi. Łączy nas to, że nasze żony i matki niemal po wszystkie zakupy mimo trudności komunikacyjnych muszą jeździć do miasta, bo zapowiadany od lat pawilon handlowo-usługowy wciąż jest jeszcze daleki od wykończenia.

Przysłuchujący się tej rozmowie przedstawiciel rady zakładowej ze smutnym zrozumieniem kiwał głową. Ale zaraz potem dodał:

— A mimo wszystko w naszym zakładowym domu kultury już szwy pękają od coraz liczniejszych zespołów, dla których brak miejsca. Nasze zespoły obejmują i przedszkolaków, i bardzo dorosłych. Może jeszcze nie mamy się czym szczególnie pochwalić na zewnątrz, ale przecież ilus tam ludzi odciągnęliśmy od wódki, od kart, od chuligaństwa, od rzucania kamieniami na wszystkich. Koncerty sprowadzanej tu Filharmonii cieszą się niespodziewanym nawet dla nas sukcesem. Nasz klub sportowy jest znany nie tylko w województwie.

— To wszystko prawda — zgodziłem się, bo właśnie skończyłem oglądanie występu kilku tak.ch zespołów, widziałem pracę różnych kółek zainteresowań. — Ale czy to wystarcza?

— Oczywiście nie — potwierdził chętnie. — Dlatego stukamy wszędzie gdzie trzeba, aby zdobyć pieniądze na budowę drugiego, naprawdę dużego domu kultury, który obsłużyłby także część samej Kalinowszczyzny. Bo dzisiaj jesteśmy od niej daleko, nie mamy na nią większego wpływu. Nasze boisko i cały zespół sportowo-wypoczynkowy przy Mełgiewskiej już niedługo będzie ściągał młodzież nawet spoza Kalinowszczyzny, otworzymy go szeroko dla wszystkich. Dajemy 10 milionów złotych na budowę odcinka trasy W—Z od Lubartowskiej właśnie do nas. Skorzysta na tym nie tylko sama fabryka. My wszyscy, razem z fabryką, zbliżymy się wreszcie do miasta, staniemy się jego częścią i mamy ambicję być jedną z najżywotniejszych części tego miasta.

Gdy po raz któryś czekałem długie minuty na autobus pod podszytym zimowym wiatrem daszkiem przystanku MPK — brzmiały mi w uszach narzekania inżyniera. Ale gdy tylko wjechaliśmy na ulice śródmieścia, ogarnął mnie optymizm przedstawiciela rady zakładowej. I to on miał na pewno rację ostateczną, chociaż zimna kalkulacja inżyniera chyba wcale nie spaczyła rzeczywistości. Zapewne wiele wody spłynie z Bystrzycy do Bałtyku, zanim optymizm stanie się rzeczywistością. Rzecz w tym, aby dokonującemu się na naszych oczach wykształcaniu środowiska FSC towarzyszyła rozumna praca coraz większej liczby ludzi, aby całą troskę zwalić nie tylko na barki ludzi z fabryki, ale i wszystkich władz miejskich i wojewódzkich. Bo jak dotychczas ten podział trudów nie jest sprawiedliwy — z jawną szkodą dla fabryki i jej ludzi.

Jerzy Dostatni

To płacze noc w ruinach Kołobrzegu

(Dokończenie ze str. 5)

— Może nie mieli czasu ich zagrzebać. Wieczne im odpoczywanie, choć to hitleria — dodał. — Ale konserwy to ja jednak zabiorę.

I ja trzymałem swoje i pomyślałem, że wojna wojną, ale szkoda czasu na dalsze dociekania. Wszystko to przecież zwykła rzecz.

Ruszyłem ku wyjściu i wkrótce wśród ruin i zwalisk przeciskałem się do zrujnowanego domku, który na tym pobojowisku był moim namiotem i schronieniem.

Przy małej kuchence krzątał się porucznik Wyrwicz. Zdążył się ogolić i umyć. Z uznaniem popatrzył na konserwy i koniak.

— Psiamać — wykrzyknął — francuski. Gdzie go znalazłeś. Może warto tam pójść jeszcze raz?

— Jak chcesz, to możesz pójść. To niedaleko. Opisałem mu położenie kaplicy.

— Umyj się, doprowadź swoje godne oblicze do porządku, a ja tymczasem zrobię śniadanie.

— Wiesz co — mrugnął znacząco okiem — wykombinowałem dobrą herbatę. Napijemy się mocnej. Mamy trochę czasu. Po popołudniu wymarsz. A teraz czas wolny. Można połazić po Kołobrzegu i można przespać się parę godzin.

— Ale, ale, mała nowinka! Nasi w dywizyjnej trupie teatralnej skomponowali już nową piosenkę: — „To płacze noc w ruinach Kołobrzegu"...

— Pod melodię tanga z „Marokka". Wiesz tego filmu z Marleną Dietrich.

I zaczął śpiewać, fałszując na potęgę.

Usiadłem i machinalnie sięgnąłem po mydło i żyletkę.

— Zrób jak najprędzej herbatę, ozłocę cię! — krzyknąłem głośno, chcąc mu przeszkodzić w dalszych popisach wokalnych.

Wacław Gralewski

NOTY

ŚMIERĆ BRONIEWSKIEGO odbiła się, rzecz zrozumiała, szerokim echem w ostatnich numerach pism kulturalnych, magazynów (zdjęcia) i dzienników. Zamieszczono przedruki dawnych i nowych wierszy, słowa pożegnalne, wspomnienia. „Współczesność" w ostatniej chwili dołączyła nawet do numeru specjalną, żałobną wkładkę. I rzecz ciekawa: wśród licznych wypowiedzi przyjaciół i kolegów, pisarzy starszego pokolenia, jak szczerze brzmiały i głosy przedstawicieli młodszej generacji. Jak serdecznie wspominał Broniewskiego Wiktor Woroszylski, jak prawdziwie i pięknie napisał o nim bd w dodatku „Współczesności". To dobrze, że młody poeta pisma reprezentującego raczej poezję abstrakcyjną i eksperymentującą, wzrusza się wierszami autora „Mazowsza" i że wyśmiewa „cmokierów krytycznych", co „nie są skłonni w ogóle wymienić Broniewskiego w kręgu nazwisk, które popychają naprzód kolaskę polskiej czy europejskiej poezji".

STRACILIŚMY PRZYJACIELA. Zmarł Mark Żywow, miłośnik naszej literatury, autor monografii poświęconej Mickiewiczowi, niezmordowany tłumacz naszej poezji dawnej (Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki) i współczesnej (Broniewski, Tuwim), przekładowca prozy (Sienkiewicz, Orzeszkowa, Żeromski i in.). Poeta radziecki cieszył się u nas dużą sympatią i wśród literatów polskich miał wielu przyjaciół.

UPŁYNĘŁO 20 LAT OD ŚMIERCI STEFANA ZWEIGA. Jak wiadomo, znakomity pisarz niemiecki (brat Arnolda), nowelista i autor biograficznych esejów, wyemigrowawszy dla uniknięcia prześladowań ze strony hitlerowców z Austrii do Brazylii, nie wytrzymał nerwowo i wraz z żoną popełnił samobójstwo. Książki tego autora tak popularne u nas przed wojną czekają na wznowienia.

DWA WAŻKIE GŁOSY W SPRAWIE WYCHOWANIA. W n-rze 8 „Polityki" Elżbieta Jackiewiczowa zamieściła artykuł pt. „Mity „nowoczesnego" wychowania", w którym porusza bardzo istotne sprawy, dotyczące wpływu domu rodzicielskiego na rozwój moralny i intelektualny dzieci. Autorka stwierdza, że dzieci nadmiernie się rozpieszcza, nie wymaga się od nich najdrobniejszych usług, że w rezultacie tego bywają chłopcy, „którzy kończąc szkołę średnią nie umieją przyszyć sobie guzików, zrobić jajecznicy, zacerować skarpetki", są nawet tacy, „którzy nie skalali się umyciem wanny po sobie, wyczyszczeniem butów". Dalej Jackiewiczowa zwraca uwagę na to, że dzieci nie szanują pracy rodziców, nie potrafią ograniczać się w potrzebach i w swych zachciankach nie liczą się z możliwościami ojca czy matki. Ale tak ich właśnie rodzice wychowują... Autorkę oburza, że młodzież nieraz niesłusznie korzysta z ojcowskich przywilejów, że zamożniejsi patrzą z góry na uboższych, że „mit koleżeńskości" rodziców i dzieci czasem prowadzi na manowce, podobnie jak tzw. „rozumne traktowanie spraw płci". Nie sposób tu streszczać szczegółowo tego arcysłusznego artykułu, z którym zapoznać się powinni wszyscy rodzice. — Jakby uzupełnieniem jego jest w n-rze 8 „Życia Literackiego" artykuł Jana Pawła Gawlika pt. „Źle się bawicie", poświęcony „obniżeniu kryteriów moralnych, obyczajowych i intelektualnych" pewnej części środowiska studenckiego w Krakowie. Przykłady na to zaczerpnięte z własnej obserwacji autora na zabawie w II Domu Akademickim i ze... sprawozdań Komendy Miejskiej MO są istotnie przerażające.

CASUS KAPUŚCIŃSKI - DROZDOWSKI został przez Zarząd Główny ZLP rozstrzygnięty pozytywnie dla Bohdana Drozdowskiego: wykluczono zarzut plagiatu na utworze R. Kapuścińskiego. Mimo to, jak informuje „Polityka" w n-rze 8, sprawa ta znajdzie się jeszcze w sądzie państwowym.

BERTRAND RUSSEL pisze w niedawno wydanym zbiorze esejów „Fact and Fiction" o swych ulubionych książkach w latach młodości i starości. Znakomity filozof dotrzymał wierności Shelly'owi i Turgieniewowi, ale zdradził Ibsena.

JUBILEUSZ TEATRU. Chorwacja obchodzi obecnie 350-lecie powstania pierwszego swego teatru zbudowanego w r. 1612 na wyspie Hvar. Jest to jeden z najstarszych teatrów w tej części Europy.

SKŁADANKA TEATRALNA

(Dokończenie ze str. 10)

Jenny Mrozowskiej). Kazimierz Siedlecki jako „śpiewak ballady" potrafił narzucić widowni swą obecność zarówno w scenach wokalnych, jak w niemych prezentacjach, które zresztą należą do wielu znakomitych inwencji reżysera; należy tu także ładna w pomyśle i subtelna w realizacji (a łatwo było o ześliźnięcie się w trywialność) scena przebierania Polly. „Ciężką" rolę szefa policji lekko zagrał Tytus Wilski, jako Lucy wystąpiła Daniela Zborowska, jako pastor — Andrzej Chmielarczyk.

Scenografia spektaklu jest nowym, poważnym sukcesem Liliany Jankowskiej; Jankowska utrafiła w nastrój dramatycznej groteski; a wprost znakomicie udało się jej rozwiązanie plastyczne sceny z prostytutkami. Inspirując się znanym obrazem Toulouse-Lautreka („Salon przy ul. Moulins"), dała kompozycję kolorystyczną i linearną równie śmiałą jak przemyślaną i celną w wyrazie.

„Opera", o ile się orientuję, budzi duże zainteresowanie i ferment myślowy na widowni; niemniej jednak, sądząc z reakcji publiczności, sztuka nie dla wszystkich jest równie czytelna. Warto by przy tej okazji wznowić dobrą tradycję dyskusji teatralnych — w tym wypadku miałaby ona chyba wszelkie szanse powodzenia. A wdzięcznym zadaniem dla prasy codziennej byłoby przeprowadzenie wśród publiczności ankiety na temat „Opery", zwłaszcza wśród publiczności studenckiej. Co prawda z głosami publiczności bywa różnie. Niedawno czytało się w prasie dziękczynny list dzieci z klasy piątej, zachwyconych „Królem Bajdusiem"!

KLITUŚ BAJDUŚ

Otóż bardzo cenię inicjatywę aktorów, którzy pomyśleli o dostarczeniu strawy teatralnej najmłodszym widzom, ale niestety, wybór pozycji repertuarowej trzeba określić jako co najmniej niefortunny. Dawno nie zdarzyło mi się słyszeć takich bajdurzeń (nie mam na myśli zupełnie przyjemnych piosenek pióra J. Księskiego, okraszających zasadniczy tekst), jak ów „Bajduś", rzecz pozbawiona wszelkiej wartości literackiej, intelektualnej, pedagogicznej. Trudno nawet przy takim materiale dramaturgicznym omawiać grę aktorów; wypada chyba tylko złożyć im wyrazy współczucia. A przecież nawet na tym bezrybiu, jakim jest nasz repertuar dla dzieci, można znaleźć utwory nie pozbawione sensu, jak świadczy o tym choćby repertuar Teatru Lalki i Aktora, gdzie bywają pozycje lepsze i gorsze, ale jednak nigdy poniżej pewnego poziomu. Ostatnio po dłuższej przerwie w działalności (gruntowny remont lokalu) ta sympatyczna i użyteczna placówka wystawiła

„NOWE SZATY KRÓLA"

według Andersena, w udanej adaptacji scenicznej Maliszewskiego (pamiętamy urczą wersję tejże bajki w wykonaniu krakowskiej „Groteski"). Spektakl, może nieco za oszczędny w efektach zewnętrznych, na które dzieci reagują najżywiej, rekomenduje się walorami plastycznymi oraz kulturą inscenizacyjną, których widownia dziecięca nie potrafi ocenić, ale je podświadomie chłonie, tak jak w innych wypadkach równie podświadomie chłonie szmirę. Zresztą uważam, że zainteresowane czynniki, to znaczy przede wszystkim zespół do spraw teatru oraz nasi dramaturgowie powinni jednak wziąć sobie bardziej do serca sprawę repertuaru dla dzieci, który to repertuar jest prawdziwym Kopciuszkiem naszego życia teatralnego.

Anna Tatarkiewicz

Widzi mi się

KOCHANY, WIECZNIE MŁODY DICKENS

92 LATA upłynęły od jego śmierci, 150 — od urodzenia. Jako dwunastoletni chłopiec, z wypiekami na twarzy, drżąc z oburzenia i zgrozy, śledziłem przejścia Oliwera Twista i dziś po pięćdziesięciu latach z nie mniejszym zainteresowaniem, a na pewno z większą rozkoszą czytam na nowo znane mi utwory. Jeśli mówi się o tym, że są książki, do których zawsze się wraca, to bez wątpienia nie starzejące się powieści Dickensa do takich należą przede wszystkim.

Cóż z tego, że ich problematyka społeczna straciła wiele na swej aktualności, że jego radykalizm zadowalał się półśrodkami, że czytając te książki, zdajemy sobie sprawę z ich konwencji w podziale stwarzanych postaci na bezwzględnie kryształowe i bezwzględnie nikczemne charaktery, że są w tych barwach białych i czarnych nieraz schematyczne, że sytuacje często są nieprawdopodobne i psychologicznie nie usprawiedliwione, że czasem krzywimy się na sentymentalizm autora. A mimo wszystko Dickens wciąż nas urzeka i jest nam bliższy od wielu bardziej od niego uznanych pisarzy.

Gdzie się kryje to czarodziejstwo autora „Klubu Pickwicka", „Dawida Copperfielda", „Opowieści wigilijnych" i tylu, tylu innych utworów, które wzruszają nas dzisiaj tak samo, jak wzruszały naszych pradziadów? Wzruszają. O, to właśnie! A więc przede wszystkim w sercu, w dobroci tego człowieka, który rozumie każde cierpienie i nieszczęście, który odczuwa zarówno ból skrzywdzonego dziecka — a ileż takich biednych dzieci przedstawił! — jak i okropności przytułków, więzień za długi i nędzę dzielnic robotniczych. W jego optymizmie, w przekonaniu, że dobro musi zwyciężyć zło. W jego niezrównanym humorze. Bo Dickens wie o tym, że — jak to powiedział Chesterton w swym świetnym eseju o tym pisarzu, „wszyscy ludzie są tragiczni" i jednocześnie „wszyscy ludzie są śmieszni". I jak można się nie śmiać z pyknicznego filozofa o okrągłej twarzy, który nie gdzieś w egzotycznych krajach, ale na zwykłej prowincji angielskiej przeżywa najnieprawdopodobniejsze, absurdalne przygody, a swoją łagodnością i dobrocią przeciwstawia się przemocy i ratuje nawet tych, którzy go krzywdzili. Albo z poczciwego pana Micawbera, wiecznie w długach, żyjącego beztrosko z cudzych pieniędzy i wciąż snującego śmiałe projeky poprawienia swojej egzysencji, czy z jego żony z jej niedorzecznymi argumentami, mającymi uzasadnić jej wiarę w powodzenie męża? Ci wszyscy ludzie są nieprawdopodobni, ale prawdziwi i żywi. I czujemy do nich sympatię, zżywamy się z nimi w miarę posuwania się w lekturze. I to samo powiedzieć można o wielu innych postaciach z książek Dickensa — tych „dzieci jego natchnienia", jak mawiał, dla których był „czułym ojcem".

A twórcą tych dzieł był człowiek, który nie ukończył nawet szkoły średniej, który wiedzę swą o życiu i ludziach czerpał z wnikliwej obserwacji tego, co widział, co go otaczało. A widział wiele rzeczy smutnych i śmiesznych, ale zawsze ciekawych, bo zanim zdobył popularność i fortunę, zdążył już jako chłopiec poznać pracę w fabryce za marne grosze i nękający go głód, i więzienie za długi, do którego dostał się jego ojciec, prototyp pana Micawbera, i później ponure biura adwokackie, a w nich mroczne machinacje patronów, i humorystyczny parlament z polorem powagi, który tak wykpił pisząc o „ministerstwie omówień", i redakcje dzienników, i dalekie traktyty prowadzące w głąb prowincji, które przemierzał jako reporter, a przede wszystkim ulice, ulice Londynu, i te, po których paradowali przedstawiciele high-life'u, i te w najbiedniejszych dzielnicach, pełne włóczęgów i żebraków. To był jego uniwersytet, a studia te później, już w okresie dobrobytu, uzupełnił wyjazd do Ameryki, gdzie go witano triumfalnie, a skąd powrócił rozczarowany i zniechęcony do złudnych form demokracji i republikanizmu zamorskiego, nie wypełnionych treścią w życiu powszednim. „Szkice amerykańskie" i „Marcin Chuzzlewit" świadczą o tym nazbyt wymownie i nic dziwnego, że te książki wywołały takie oburzenie w Stanach Zjednoczonych.

Mało pisarzy osiąga tak jak Dickens jeszcze za życia szczyty sławy, poważania i autorytetu. Jeszcze mniej ma możność bezpośredniego oglądania skutków swej popularności, jeśli chodzi o uzdrowienie bolączek społecznych, przeciwko którym wymierzali swoją twórczość. Dickens doczekał się zniesienia więzienia za długi — przydał się „Dawid Copperfield" i „Maleńka Dorrit", wprowadzenia reform do szkół niższych — dopomógł „Nicolas Nickleby", wpłynął na zmiany w różnych instytucjach dobroczynnych, sierocińcach, domach pracy i w sądownictwie.

Szkoda, że „Czytelnik", który przed kilku laty zapoczątkował piękną edycję dickensowską, od dłuższego czasu utknął w miejscu. Przecież nie mamy jeszcze przekładu lub wznowień „Obrazów z Włoch", „Sklepu starożytności" i „Domu na pustkowiu". Przecież niektóre już po wojnie wydane powieści Dickensa zostały całkowicie wyczerpane. A książki o nim? „Opowieść o Dickensie" Eleonory Graham, wydana przez „Naszą Księgarnię", to za mało. Esej Chestertona, który ukazał się jeszcze przed wojną, aż się prosi o reedycję. A czy nie należałoby udostępnić polskiemu czytelnikowi studiów o Dickensie Forstera, W. Dibeliusa i T. A. Jacksona?

X. Rovay

Ceterum censeo

W książce Tadeusza Klimaszewskiego „W składzie kursuje wagon sypialny" (Czytelnik, 1961) ludzie uporczywie „zakładają" zamiast wkładać: „założyłem czystą koszulę" (str. 86), „zakładając czapkę" (str. 98), „nowe kryształki pierwszy raz założyłam" (str. 117), a po stopniu wyższym przymiotników czy przysłówków wciąż występuje „jak" zamiast „niż": „ważniejsze jak ten cały kurs" (str. 9), „godzina jest więcej jak późna" (str. 95), „mniej zachodu jak z kurami" (str. 116). Na str. 181: „gdziekolwiek się pan nie obrócił". Jeszcze dobrze, że nie „gdzieby się pan nie obrócił", ale powinno być bez przeczenia: „gdziekolwiek się pan obrócił".

W doskonałym przekładzie „Opowieści o Dickensie" El. Graham (Nasza Księgarnia, 1960) znalazł się jednak na str. 97 „okrągły rok".

Nie uniknęli się też błędów językowych dobry tłumacz „Jasności i mroku" Charlesa Snowa: „jaką wszyscy pragnęlibyśmy" (str. 58), „kilka wieczorów pod rząd" (str. 119), „ruszył w ślad za nimi" (str. 121), „nie pomogło mi zachować cierpliwość" (str. 314), „poproszę o pozwolenie sprezentowania ich" (w sensie podarowania, ofiarowania — str. 392), „potrzebuję kilka książek" (str. 408). Wydaje mi się, że autorowi (rzecz ludzka) może się czasem przydarzyć jakiś błąd spowodowany nieuwagą albo pośpiechem przy pisaniu na maszynie, ale od czegoż są w wydawnictwach adiustatorzy czy korektorzy?

O „Brunie Schulzu" czytamy w korespondencjach „Przeglądu Kulturalnego" nr 8, kol. 9. Jeśli o Brunie, to i o Hudze Kołłątaju, Guidzie Renim lub Ottcie III...

A na naszym podwórku? Najpierw dosłownie na naszym, bo w n-rze 3 „Kameny", gdzie redaktor autonomicznej kolumny młodych „Profile" nie poprawił obrzydliwego błędu: „rozumią" i to w wierszu... Z dzienników lubelskich odnotuję z n-ru 43 „Kuriera Lubelskiego" na kol. I w notatce „W sklepach i barach mlecznych" zdanie: „...w barze znalazł się już cały personel, a w ślad za nim pierwsi konsumenci". Po co ten rosyjski „ślad"? Wystarczy po prostu „za nim".

Ceterum censeo linguam nostram esse purgandam.

Caius

Na prośbę Czytelników przedłużamy termin nadsyłania prac na Konkurs „Kameny" do dn. 1 kwietnia

W pierwszych dniach kwietnia br. odbędzie się w Lublinie ogólnopolski Zjazd publicystów kulturalnych i kierowników wojewódzkich wydziałów kultury przy udziale przedstawicieli władz centralnych. Głównym tematem obrad będzie rola środowisk twórczych oraz inteligencji wszelkiego typu w upowszechnieniu kultury.

W związku ze Zjazdem „Kamena" ogłosiła konkurs pod hasłem

KULTURA W POWIECIE I W GROMADZIE

Celem konkursu jest ujawnienie procesów kulturalnych stosunkowo najmniej znanych, ale nie najmniej ważnych, których terenem są małe miasta i wsie.

Zapraszamy gorąco do udziału w konkursie przedstawicieli inteligencji działających w małych miastach i na wsi — nauczycieli, bibliotekarzy, działaczy kulturalno-oświatowych, pracowników służby zdrowia, agronomów, inżynierów, techników.

Piszcie o wszelkich formach upowszechnienia kultury, jakie uprawiacie lub z jakimi się stykacie, o zespołach amatorskich, świetlicach, klubach, bibliotekach, o waszych kontaktach z teatrem, kinem, telewizją, o osiągnięciach, zainteresowaniach, potrzebach i trudnościach w dziedzinie życia kulturalnego.

Do konkursu dopuszczone są wszelkie formy, a więc reportaż, artykuł, fragmenty pamiętnika, relacja, notatka informacyjna itp. Nie ograniczając w zasadzie rozmiarów, najchętniej widzielibyśmy prace nie przekraczające 5 stron maszynopisu.

Za najciekawsze z nadesłanych prac przyznane będą nagrody:

I — 1500 zł
II — 1000 zł
III — 500 zł

oraz wiele cennych nagród książkowych. Ponadto za prace w całości lub wyjątkach publikowane na łamach „Kameny" wypłacone będzie honorarium autorskie według powszechnie przyjętych stawek. Przewiduje się także możliwość zaproszenia autorów najciekawszych prac na ww. Zjazd.

Skład jury: Maria Bechczyc-Rudnicka, Olga Gancarzowa, Anna Tatarkiewicz, Jerzy Dostatni, Edward Nadulski, Stanisław Weremczuk.

Prace należy nadsyłać pod adresem Redakcji „Kameny" (Lublin, ul. Graniczna 1-6).

ALEJA MODRZEWIOWA W PANA-REYOWEJ OKSZY DZIŚ OKSIE KOŁO NAGŁOWIC

Foto J. Jedliński

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" • Redaguje Kolegium: Waldemar Babinicz, Maria Bechczyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aniela Cach-Piskorowa (dział rzeszowski), Aleksander Gabrusiewicz (dział białostocki), Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz, Ryszard Smożewski (dział kielecki), Anna Tatarkiewicz • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu" Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 945 3.III.62. Nakład 1.700. D-3.